



DZWONNIK.

nie niszczyć książek



WINCENTY KOSIAKIEWICZ

174

DZWONNIK

TRAGEDYA W 5-CIU AKTACH.

931.



WARSZAWA, 1911. * NAKŁAD I DRUK TOW. AKCYJN.
S. ORGELBRANDA S-ÓW. * SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘ-
GARNI E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ).

OSOBY:

| | |
|------------------------|------------------|
| KRÓL. | GÓRAL STARY. |
| DYABEŁ. | PAN 1-y. |
| MARSZAŁEK. | PAN 2-i. |
| JENERAŁ-KONDOTIER. | PAN 3-i. |
| OFICER STARSZY. | POETA 1-y. |
| OFICER MŁODSZY. | POETA 2-i. |
| PREZES AKADEMII. | POETA 3-i. |
| REKTOR UNIWERSYTETU. | POETA 4-y. |
| ADJUTANT. | ŻOŁNIERZ 1-y. |
| SKARBNIK. | ŻOŁNIERZ 2-i. |
| SZAMBELAN. | GÓRAL 1-y. |
| HEROLD. | GÓRAL 2-i. |
| KOCHANICA KRÓLEWSKA. | ŚPIEWAK. |
| KAT. | MIESZCZANIN 1-y. |
| PACHOLEK KATA 1-y. | ŻONA JEGO. |
| PACHOLEK KATA 2-i. | CÓRKA JEGO. |
| DOZORCA WIĘZIENNY. | MIESZCZANIN 2-i. |
| DZWONNIK. | MIESZCZANIN 3-i. |
| MATKA JEGO. | ŻONA JEGO. |
| RANT, JEGO PRZYJACIEL. | SZYLDWACH. |
| DZIEWCZYNA. | SZPIEG. |
| MALARZ. | OBERŻYSTA. |

Lud, Żołnierze, Górale, Mieszczanie, Panowie dworscy,
Panie dworskie, Heroldowie, Paziowie, Muzykanci.

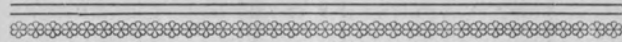


884-2

M

Dar.
22/10.45n.





PROLOG.

Mały placyk w stolicy kraju. Na prawo oberża, z beczką wina, jako szyld. Przed oberżą parę stołów ze stołkami.

MIESZCZANIN 1 (wchodzi z żoną i córką).

Więc nie?

ŻONA.

Tak, niestety, nic z tego nie będzie. Stary piekarz jest uparty jak kozioł. Mój syn będzie miał trzy tysiące złotych — powiada — i musi dostać taką żonę, któraby także wniosła do domu trzy tysiące złotych, — powiada. Nawet dwa tysiące dziewięćset dziewiędziesiąt dziewięć nie będzie, — powiada.

MIESZCZANIN 1.

A mówiłaś mi, że te pół tysiąca złotych brakujących dziewczyna później wniesie, za rok, za dwa, jak się dorobimy?

ŻONA.

O tem bym mu nie powiedziała?

MIESZCZANIN 1

I cóż on?

ŻONA.

Nie głupi. Nie — powiada — póki klamka nie zapadnie. Nóżki na stół.

MIESZCZANIN 1.

Ha! no, to cóż ja zrobię. Trzeba szukać innego.

CÓRKA (z dąsem):

Tak, innego?!... Zapusty już nie daleko.

ŻONA.

O! widzicie ją! Czy to już ostatnie zapusty?! Ona tylko to ma w głowie, aby z domu.

MIESZCZANIN 1.

Tak ci źle z nami?

CÓRKA.

Nie jest mi źle, aleć wiem, że mi inny dom przeznaczony, własny.

MIESZCZANIN 1.

Juści, juści.

ŻONA.

Nabędziesz się ty w tym „innym domu“, nabędziesz. Swoją drogą, nie mogę się odżalować. Piekarzysko już stare, niedługo wyciągnie nożyny, a grosza zostawi sporo; żaden piekarz w całym mieście nie dosypuje tyle gipsu do mąki, co on.

MIESZCZANIN 1.

A no, cóż robić? Skoro niema na 'co rady, to lepiej o tem nie myśleć wcale. Przelećcie się po mieście. Ja tu na was poczekam

ŻONA (z wyrzutem).

Przy szklanicy?!..

MIESZCZANIN 1.

Może mi jaka dobra myśl przyjdzie.

ŻONA.

A jakże!

(do córki).

Chodź, przejdziemy się po straganach.

MIESZCZANIN 1 (usiadł już za stołem oberży).

Po straganach?! Kupować?! pieniądze wydawać?!

ŻONA.

O! nie znasz mnie to?! Jam ci taka skora do kupowania?! Ot, tak, obejrzymy to i owo, potargujemy się trochę i wrócimy do domu. Zawszeć to robi przyjemność.

Odchodzą.

MIESZCZANIN 1 (puka w stół. Do wchodzącego OBERŻYSTY).

Wina!

Wchodzi MIESZCZANIN 2, siada przy drugim stole i również do OBERŻYSTY woła:

Wina.

Pijąc wino, obaj mieszczenie spoglądają raz i drugi na siebie, jak znajomi, którzy się sobie przypominają.

MIESZCZANIN 1 (wstaje).

Ależ to ty, ty... Jasiu!

MIESZCZANIN 2.

Józio!... On!... patrzaj...

MIESZCZANIN 1.

Trzy lata cię nie widziałem, — odkąd się wyniosłeś za rogatki!

MIESZCZANIN 2.

A no, tam wszystko taniej.

Siadają przy jednym stole.

MIESZCZANIN 1.

Oj, miałeś rację. Drożyzna robi się nie do wytrzymania. Poborca zabiera człowiekowi ostatnią...

(wstrzymuje się nagle).

MIESZCZANIN 2 (skwapliwie podchwytuje).

Co? co?

MIESZCZANIN 1.

Mówię, że drożyzna jest wielka.

MIESZCZANIN 2.

Ale mówiłeś o poborcy.

MIESZCZANIN 1.

Ja? mówiłem o poborcy?

MIESZCZANIN 2.

A jakże, mówiłeś... Powiedziałeś „poborca zabiera człowiekowi“... Toćem dobrze słyszał.

MIESZCZANIN 1.

A no, tak, mówiłem. A jakże, mówiłem. Powiedziałem, iż „poborca zabiera człowiekowi to, co się naszemu kochanemu królowi-jegomości słusznie należy“...

MIESZCZANIN 2.

Nie to chciałeś powiedzieć, Józiu nie to...

MIESZCZANIN 1.

Jak ciebie kocham, Jasiu najmilszy...

MIESZCZANIN 2.

Podejrzujesz mnie... Boisz się mnie... Myślisz może, iż zdradzę naszą starą przyjaźń dla kilkudziesięciu albo i kilkuset złotych i doniosę każde twoje słowo urzędowi szpiegowskiemu?

MIESZCZANIN 1.

Eh! cóż znowu?! Wypijmy za starą przyjaźń! Niech zadzwonią szklanice... Wszak od lat trzech już u nas tylko szklanicami dzwonić wolno

(uderzają w szklanice).

MIESZCZANIN 2.

Tak, król-jegomość zabronił w kościołach dzwonić Panu Bogu na chwałę...

MIESZCZANIN 1.

A zabronił...

MIESZCZANIN 2.

Mówią, że to za poradą... (wstrzymuje się).

MIESZCZANIN 1 (skwapliwie).

Co? co mówią?...

MIESZCZANIN 2.

Co mówią? Albo ja wiem?! Ja tam nie słucham tego, co mówią.

MIESZCZANIN 1.

Widzisz, Jasiu. To ty mi nie ufasz?! to ty mnie podejrzewasz... Pfel wstydz się!.. Ta-ka stara przyjaźń... A jeszcze mnie oskarżał..

MIESZCZANIN 2 (zaambarasowany).

Kiedy to czasy zrobiły się takie...

MIESZCZANIN 1.

Jakie?

MIESZCZANIN 2.

Toć wiesz sam...

MIESZCZANIN 1 (kiwa smutno głową).

Nie daj Boże gorszych.

MIESZCZANIN 2.

Tfu, jakie czasy!

MIESZCZANIN 1.

A! nareszcie się pozbyłeś nieufności. No, stary druhu, twoje zdrowie.

MIESZCZANIN 2.

I twoje, dobry przyjacielu.

MIESZCZANIN 1.

A teraz wykrztuś że, coś miał powiedzieć o dzwonach...

MIESZCZANIN 2.

Toć wszyscy o tem gadają, jeno szeptem, musiało i twojego ucha dojść.

MIESZCZANIN 1.

Juści... coś nie coś...

Przez cały czas rozmowy obadwaj traktują się z chy-
trością, ostrożnością i podejrzliwie.

MIESZCZANIN 2.

Król-jegomość podobno, we wszystkim radzi się...

MIESZCZANIN 1.

Właśnie... właśnie...

MIESZCZANIN 2 (tajemniczo)

Samego dyabła...

MIESZCZANIN 1 (podobnie).

Doradca koronny...

MIESZCZANIN 2.

To i widać na wszystkim.

MIESZCZANIN 1.

Na jego żądanie umilkły dzwony na wie-
życach kościelnych.

MIESZCZANIN 2 (w pół pytająco).

Na jego? Na kogo?

MIESZCZANIN 1.

No, na dyabła.

MIESZCZANIN 2.

Dyabła? — powiedzialesz?!

MIESZCZANIN 1.

Co? ja to powiedziałem?! To ty powiedziałeś!

MIESZCZANIN 2.

Ja? przecież przed chwiląś mówił, że to dyabeł sam pozrucać kazał dzwonników naszych z wież kościelnych.

MIESZCZANIN 1.

Jam to powtórzył za tobą.

MIESZCZANIN 2.

Nie ufasz mi, Józiu.

MIESZCZANIN 1.

To ty się przedemną kryjesz, Jasiu...

MIESZCZANIN 2 (puka na oberżystę).

Jeszcze wina... Dwie... Lepszego podać...

Oberżysta wykonywa polecenie.

Ostatecznie, to musi być prawda...

MIESZCZANIN 1.

I mnie się tak widzi. Wszystko w naszym państwie idzie na opak. Szpiegów obsypują złotem, a z porządnego człowieka wyduszają ostatnią krwawicę...

Pod wpływem wina robią się szczerzi.

MIESZCZANIN 2.

Tam, gdzie król wziął sobie dyabła za doradcę... Ha! musi okazywać mu wdzięczność... On to, czarny, wprowadził go na tron, nie kto inny...

MIESZCZANIN 1.

W istocie, tron wypadł naprzód stryjecznym braciom.

MIESZCZANIN 2.

Ci pomarli wszyscy jednego wieczoru, po uczcie w zamku. Trzech mężczyzn w sile wieku nie umiera odrazu po uczcie,—jeżeli im kto do tego nie dopomógł...

MIESZCZANIN 1.

Ja myślę... A potem ojciec króla naszego... Toć on powinien był wstąpić na tron...

MIESZCZANIN 2.

Właśnie... Ale ten zniknął, nie wiadomo jak... —

MIESZCZANIN 1.

Oh? nie wiadomo?...

MIESZCZANIN 2.

Wiadomo?

MIESZCZANIN 1.

Juści!

MIESZCZANIN 2.

Toć powiedz, że...

MIESZCZANIN 1 (obejrawszy się na wszystkie strony).

Syn wrzucił go do lochu i tam zamorzył.

MIESZCZANIN 2.

Syn?! rodzony syn?!

MIESZCZANIN 1 (opatrzywszy się).

Syn — mówisz — syn... Własnego ojca?!

MIESZCZANIN 2.

Jak powiedziałeś? Syn? w lochu? w lochu?

MIESZCZANIN 1.

Ja tylko słucham tego, co ty mówisz...

MIESZCZANIN 2.

Ja się od ciebie nowin dowiaduję...

MIESZCZANIN 1.

Aha! boisz się, żebym na cię nie zade-
nuncyował...

MIESZCZANIN 2.

Obawiasz się, że cię wydam...

MIESZCZANIN 1.

Kochany Jasiu!...

MIESZCZANIN 2.

Najmilszy Józiu!... Twoje zdrowie...

MIESZCZANIN 1.

I Twoje... Niech żyje stara przyjaźń...

MIESZCZANIN 2.

Ntęch żyje...

(Trącają się. Piją).

MIESZCZANIN 2 puka na OBERŻYSTĘ i płaci.

MIESZCZANIN 1.

A pozwólże Jasiu...

MIESZCZANIN 2.

Już zapłacone. I nie ma co gadać. No
bywaj, mój najmilszy.

MIESZCZANIN 1.

A pamiętaj, na przyszły raz—moja kolej.

MIESZCZANIN 2.

Do prędkiego, mój najmilszy druhu...

MIESZCZANIN 1.

Do zobaczyska, mój wierny przyjacielu...

(Ściskają się z przesadą. MIESZCZANIN 2 odchodzi na
prawo. Z przeciwnej strony wchodzi ŻONA i CÓRKA
Mieszczanina 1).

CÓRKA.

Już jesteśmy, tatku.

ŻONA.

Natargowałyśmy się do upadłego.

MIESZCZANIN 1 (wesoly).

Córuś, uściskaj swojego dobrego tatka.
W te zapusty wyjdiesz za mąż.

ŻONA.

No, za kogoż to?

MIESZCZANIN 1.

Za syna piekarzowego.

ŻONA.

A te pół tysiąca złotych?!

MIESZCZANIN 1 uderza się po kieszeni.

Jakbym je już tu miał!



ŻONA.

Nic nie rozumiem z tego wszystkiego.
Zkądże wzięłeś tyle pieniędzy i tak odrazu?

MIESZCZANIN 1.

Tu, tu, przyniósł mi jeden głupiec całą
kupkę kochanych złotych — i jeszcze mi wina
postawił, żebym był łaskaw je przyjąć.

Wchodzi HEROLD, bijąc w bęben. Gromadzi się lud.
Między ludem MIESZCZANIN 3-i i jego ŻONĄ, młodzi
ludzie oboje. W trakcie ogłoszenia herolda wsunął
się SZPIEG.

HEROLD.

Słuchajcie! słuchajcie!

GŁOSY LUDU.

Słuchamy! słuchamy!

HEROLD.

Najdostojniejszy pan nasz i monarcha
Poetom dzisiaj ogłasza swą łaskę.
Na konkurs wzywa wszystkie pióra wieszczę—
Niech podniosłemi wyrażą słowami
Majestat, wielkość naszego monarchy,
Mądrość praw jego, dostojenstwo aktów,
I radość ludu i szczęście narodu,
Że ma nad sobą berło tak wspaniałe.
Zwycięzca tytuł otrzyma nadworny,
I dożywotnej pensyi tysiąc złotych

W sam dzień konkursu, biedny czy bogaty
Okna mieszkania niech przybierze w kwiaty.

HEROLD odchodzi. LUD powoli się rozchodzi. NIE-
KTÓRZY MIESZCZANIE kłaniają się SZPIEGOWI nisko
i ze strachem; ten to przyjmuje zimno i wzgardliwie.

MIESZCZANIN 3 (do ŻONY z ostrożnością).

Masz tobie, będzie nowy podatek. Im
dalej, tem gorzej. Wytrzymać już nie sposób.

ŻONA (sposstrzega przechodzącego SZPIEGA).

Pst... pst... ukłoń że mu się, słyszysz...
Pamiętaj, że on może zgnoić w lochu każde-
go, kogo zechce.

MIESZCZANIN 3 sięga leniwie ręką do czapki, ŻONA
pociąga mu rękę z czapką na dół i sama się kłania uni-
żenie. SZPIEG przechodzi na lewo.

MIESZCZANIN 3.

Że to kary boskiej niema na tych łotrów.

ŻONA.

Co ty wygadujesz!? jeszcze w publicz-
nem miejscu?!

MIESZCZANIN 3.

Z jaką rozkoszą utopiłbym temu drabo-
wi nóż w jego podłem sercu.

ŻONA.

Pamiętaj, że teraz kamienie nawet mają
uszy. Miej litość nad sobą i nademną biedną.

MIESZCZANIN 3.

Litość?! Ah, Pan Bóg niema litości nad narodem...

ŻONA.

Pst... Patrz, ktoś idzie...

Wchodzi RANT (młodzieniec w góralskim ubiorze).

MIESZCZANIN 3.

A, to góral z Jastrzębiego Gniazda. Poczekał, muszę z nim pogawędzić. Podobno w górach chodzi między ludem jakiś dzwonnik wypędzony z wieży i do powstania ludzi nawołuje.

ŻONA (ze strachem, prosząco).

Dałbyś pokój, to niebezpiecznie zadawać się z pierwszym lepszym.

MIESZCZANIN 3.

Uspokój się. Będę ostrożny. Chciałbym się jeno dowiedzieć, czy to prawda (kłania się Rantowi).

Wszak jesteś z Jastrzębiego Gniazda, przyjacielu?

RANT (Wstrzemięźliwie, prawie lękliwie).

Tak jest, poznałeś po ubraniu?

MIESZCZANIN 3.

Zdaje mi się, żeśmy się w waszym miasteczku spotkali dwa lata temu, na jesiennym jarmarku.

RANT.

Nie pomnę tego.

MIESZCZANIN 3.

Odmówmy znajomość, przyjacielu. Na szklaneczkę.

ŻONA (odciąga go).

Miej się na bacności.

RANT.

Nie biorę nigdy do ust wina. A przytem mam pilne spotkanie (chce odejść).

MIESZCZANIN 3 (zatrzymuje go).

Powiedz mi, proszę, czy to prawda, że w waszych górach jakiś dzwonnik otwiera ludowi oczy na jego krzywdy?...

RANT (bojaźliwie).

Nic o tem nie wiem.

MIESZCZANIN 3.

Słyszałem o tem na pewno. Ma być to człowiek tak śmiały, że odwaga wstępuje w każdego, kto nań patrzy. A wszystko to, co każdy lepszy człowiek chowa ze strachem w sobie, on wyprowadza na światło i stawia przed oczy.

RANT.

Podobno... istotnie... mówią...



MIESZCZANIN 3.

Powiedźże mi, gdzie można go odszukać? gdzie można go usłyszeć?

RANT (szybko).

Nie wiem, nie wiem doprawdy. Pilno mi. Nie mogę zatrzymywać dłużej.

(Kłania się i odchodzi).

ŻONA.

Coś do niego mówił?! Temu człowiekowi nie patrzyło dobrze z oczu.

MIESZCZANIN 3.

Bał się ust do mnie otworzyć... Nic dziwnego... Teraz zdrada tak suto popłaca, że co trzeci człowiek nie myśli o innym zarobku... Syn ojca, brat brata sprzedaje w urzędzie szpiegowskim...

ŻONA (pociąga go).

Chodź, chodź... Ja wtedy tylko o ciebie jestem spokojna, gdy siedzisz w domu

(odchodzą).

SZPIEG przechodzi. MIESZCZANIN 2 goni go.

MIESZCZANIN 2 (zbliża się doń).

Panie!

(głęboki ukłon),

SZPIEG (szorstko).

Czego chcesz?

MIESZCZANIN 2 (tajemniczo).

Mam ci do powiedzenia rzecz ważną.

SZPIEG.

Mów.

MIESZCZANIN 2.

Znam człowieka, który o naszym miłościwym królu wygaduje rzeczy dziwne, — potworne i ubliżające.

SZPIEG.

Słyszałeś na własne uszy?

MIESZCZANIN 2.

Tak jest, dobry panie, na własne uszy. Zeznam te pod przysięgą. Do mnie samego to mówił. Tu, na tem miejscu, przed godziną...

SZPIEG.

Dobrze... Teraz odstąp odemnie... I tylko śledź mnie oczami... Ja wejdę do owocarni na rynku „Pod złotą gruszą“. Ty wejdź tam w parę minut po mnie i zażądaj „Wiśni bez pestek“. Rozumiesz? To jest znak. Kupiec cię doprowadzi gdzie potrzeba. A idź przez ulicę, nie spiesząc się, jakby nigdy nic... Rozglądaj się po sklepach, rozumiesz?

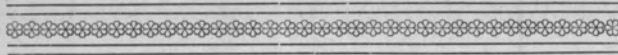
MIESZCZANIN 2.

Jeszczebym tego nie rozumiał.

SZPIEG odchodzi. MIESZCZANIN 2-gi sunie powolnie za nim, z przesadą rozglądając się po sklepach.

Z a s ł o n a.





A K T I.

KONKURS POETYCKI.

Sala tronowa, Blisko tronu złożone krzesło dla Kochanicy królewskiej. W pewnym oddaleniu szereg krzeseł niskich dla dygnitarzy. SZAMBELAN wprowadza POETÓW. Jest ich czterech. Każdy trzyma w ręku zwój pergaminowy, rękopis swojego poematu.

SZAMBELAN.

Oto jest sala tronowa, moi panowie. Rozejrzyjcie się dobrze i oswójdźcie z tem wysokim miejscem, by was nie krępowało ono w wygłaszaniu wierszy waszych. Zwracać się macie do samego króla-jegomości. Jeden po drugim, na znak, jaki wam dam moją łaską. Co się tyczy kolei, będziecie ciągnąć losy przed samym podpisem. Zostawiam was teraz samych. Dobrej myśli, moi panowie.

(Odchodzi).

POETA 1.

Jest nas tu czterech, napelnionych od stóp do głów najpiękniejszymi nadziejami, i od stóp do głów najszerszym gatunkiem niepokoju. Jeden z nas będzie dziś szczęśliwy. Tytuł nadwornego poety i dożywotnia pensja?! Bagatela. Natchnienie nie miało od początku świata lepszej gratki. Szczęśliwiec dostanie do końca życia omaścistą pensję, bez obowiązku napisania choćby jednego porządnego wiersza. Będę przed wami, bracia w Apolinie, zupełnie szczerzy i wyznam wam, jak na świętej spowiedzi, że te warunki zgadzałyby się wyjątkowo z moim temperamentem.

POETA 2.

Nie nowina, mój drogi. Wiemy o tem dobrze, że twoja muza jest leniwą dziewczką, która drzemkę przekłada nad robotę. Twórczość twoja nie fatyguje cię zbytnio. Wy-skubiesz na rok trzy, cztery wierszyki. Co do mnie, gdybym wziął konkurs,—zastrzegam się najformalniej, iż nic nie przesądzam,—ale, gdyby mnie mianowano poetą nadwornym, król posiadałby odę na każdy swój akt, a w razie wojny mógłby być pewnym epepei. Moja muza jest mi łaskawą, dobroczynną, szczerą i pieśczośliwą. Powiecie może, iż ja się chwale, ale, doprawdy, niema takiego tematu, którego nie byłbym w stanie rymami udekorować, niema takiego dnia, w którym nie byłbym

zdolny wiązaną mową przemawiać. Mogę powiedzieć, co będzie tylko skonstatowaniem faktu, iż urodziłem się poetą. Naprzykład w tej okazji. Zadałem sobie sam największe przeszkody; wybrałem formę najtrudniejszą: sonet. Co powiecie? Na drugi dzień po ogłoszeniu konkursu już byłem gotów. Ale nie próżnował od tego czasu, o nie. Pisałem dalej sonety. Mam ich setkę prawie. Z nich dopiero, razem z żoną i córkami, wybieraliśmy najlepsze. Zobaczmy zaraz, co mi przyniesie?

POETA 1.

O! rezultat konkursu nie trudno odgadnąć!

POETA 2.

Tak myślisz?

POETA 1.

Widzisz, stoi tu nas czterech, którzy robimy wiersze, ale między nami jest „jeden“ tylko poeta.

POETA 2.

Jeden?

POETA 1.

Tak, jeden. Wyraźnie „jeden“.

POETA 2.

No, a ten jeden, jest?.. *Nie niszczyć książek*

POETA 1.

Jakto? Nie zgadujesz?

POETA 2 (zażenowany).

Trudno mi przeniknąć twoją myśl...

POETA 1.

Nie zgadniesz. Pomogę ci. Wskażę ci na tego, który napewno nie jest poetą.

POETA 2.

No, no?

POETA 1.

Ty!

POETA 2 (obrażony).

To się pokaże (do Poety 3). Ten „jeden“ — to pewno on. Trudnem jest obcowanie z zarozumialcami.

POETA 3. (Młody człowiek, z długimi włosami, w aksamitnym garniturze, z beretem w rękę).

Najmłodszy z was jestem, ale z pewnością dziś najchłodniejszy. Niema we mnie niepokoju, bo niema też i nadziei. Liczcie, że was tylko trzech staje do konkursu.

POETA 1.

Zbytek łaskawości.

POETA 3.

Nie powinien żądać laurów od terazniejszości, kto dla przyszłości buduje.

POETA 2.

Ciebie się nie boimy, bratku.

POETA 1 (do Poety 4).

Nic nie mówisz?

POETA 4.

Zaraz będzie tyle do powiedzenia.

POETA 1.

To ty, szczęśliwczu, odrzucisz nas dziś do kąta. Nie można o tem wątpić.

POETA 4.

Oh! o to bądźcie spokojni. Nie jestem wam ani trochę groźnym. Wszystko może dziś mnie spotkać, — oprócz tytułu nadwornego poety.

POETA 1.

Nie rozumiem cię. Czy muza nie była ci tym razem wierną, ona, tak dla ciebie zwykle łaskawa?

POETA 4.

Czy była mi wierną? Stała natychmiast na moje zawołanie. Rozszerzyła mi piersi głębokim tchnieniem, pogoniła pulsy w moich żyłach, rozpalila ogień w sercu i zacisnęła mi pięści gniewem szalonym.

POETA 2.

Co? co? gniewem?

POETA 4 (potrzasa pergaminem).

Napisałem — co potrzeba

(oddala się w głąb).

POETA 2 (do pierwszego i trzeciego).

On jakąś awanturę przygotowuje. Patrzcie, jaki jest podniecony. Nie wygląda on mi na niebezpiecznego konkurenta.

POETA 1.

Trzeba się dowiedzieć, co on zamierza.
Jeżeli jakie szaleństwo, odwiedźmy go od tego.

POETA 3 (uradowany z tego obrotu rzeczy).

Dlaczego? Dlaczego? Niech każdy robi,
co chce.

POETA 2.

Pewno. Lepiej go zostawić samemu
sobie.

POETA 1.

Jeżeli nie będzie ostrożny w słowach,
może drogo zapłacić.

POETA 3.

Tem lepiej dla nas.

POETA 2.

Tak. Niech każdy martwi się za siebie.

POETA 1 (bierze Poetę 4-go po przyjacielsku na stronę).

Powiedz mi otwarcie, (wskazuje na zwój)
co to jest?

POETA 4.

Powiem ci otwarcie i krótko. To jest—
policzek dla tyrana.

POETA 1 (odskakuje odstraszony).

Szaleńcze!

(ogląda się trwoźnie).

POETA 4.

Szaleńcem jestem, powiadasz? To mnie
nie przeraża. Są widać szaly, w których myśl
przeogląda rzeczy aż do dna, a uczucie sięga
do krańców serca. Długoż my, poeci, najlepsi
ludzie w narodzie, odwracać się będziemy od
sumienia naszego?! Długoż schlebiać mamy
tyranowi, który podeptanie wszelkiego prawa
boskiego i ludzkiego zamienił w system rządów?!
Długoż kłaniać się będziemy łotrom
i poniżać przed plugawcami, dla których, dla
nich jednych, stoją otworem wszystkie go-
dności i korzyści w państwie?! Długoż nędz-
ną biernością naszą, której dajemy jeszcze
zadne miano „wierności“, popierać będziemy
walkę, jaką ukoronowany zbrodzień (Poeci
z przerażeniem oglądają się wokół) wytoczył Bogu,
wszelkiemu dobru, wszelkiej szlachetności
i wszelkiej godziwości?! Długoż patrzeć bę-
dziemy, przerażeni i niemi, jak zbiry niecne,
w herb królewski przyodziane, tępić będą, ni-
by przestępstwo, niby zbrodnię, wszelki do-
bry poryw, gdziekolwiek się on niby polny
kwiat na zachwaszczonym polu zabarwił.

POETA 1.

Mam nadzieję, że nic z tego, co mówisz
tu, w gorączce najwidoczniej, niema w two-
ich wierszach?

POETA 4.

Wyrzecz się tej nadziei. Jest tu wszystko. I lepiej, i mocniej powiedziane. Znalazłem to w swojej duszy tak gotowe, jakby mi tam pokryjomu przedemną, obca a potężna złożyła ręką. A wybuchło to ztamtąd i polało się po pergaminie, niby ogień po suchej słomie.

POETA 2.

Chceszli się w tym ogniu usmarzyć?

POETA 1.

Zastanów się! Ochłoń! Pomyśl, w jak strasznego zwierza paszczę gotujesz się wskoczyć?!

POETA 4.

Wszystko jedno, co mnie spotka! Wyście przygotowali się zbeczczyć Poezyę. Wielka i święta to pani. Ja jej chcę godnie usłużyć.

POETA 1.

Twoje wiersze nic nie przemienią. Zginiesz. I one z tobą. Poezya jest świętą panią, ale nie wymaga od nas męczeństwa. Jeszcze czas.

POETA 4 (zachwiał się).

Myślisz...

POETA 1.

Możesz się wycofać z konkursu. Możesz

się wytłómaczyć, że ci muza nie była posłuszna.

(Wchodzą Heroldowie, a wśród nich Szambelan).

POETA 4.

Nie, już za późno. To trudno (z mocą). I tem lepiej.

Poeci usuwają się na stronę. Rozpoczyna się pochód. Szambelan wskazuje miejsca przybywającym.

JENERAŁ-KONDOTIER. (Bardzo gruby, z ogromnym brzuchem, ledwie stąpa, ciężko sapiąc).

Witaj szambelanie. Nowości wprowadzacie. Konkurs poetycki?! Dla mnie są to faramuski. (Do Starszego Oficera, który mu asystuje). Co to za koncept, żeby z tego czynić uroczystość dworską. My w co innego wierzymy, kapitanie, co? Naprzód marsz! Krzyżowa sztuka! Bez pardonu! Oto jest życie!

STARSZY OFICER.

Jenerale, i poeci muszą być na świecie.

JENERAŁ-KONDOTIER.

Nie widzę konieczności.

STARSZY OFICER.

Któżby opiewał nasze rycerskie dzieła?

JENERAŁ-KONDOTIER.

Najsłodsza pieśnią dla rycerza jest—łup.

REKTOR UNIwersYTETU (do prezesa Akademii).

Król-jegomość miał pomysł piękny, powołując poetów do tej oryginalnej misji państwowej.

PREZES AKADEMII.

Piękny? powiedz, że wielki. I tego za mało.

REKTOR UNIwersYTETU.

Oczywiście, że wielki. Piękny i wielki zarazem. O! król-jegomość jest bardzo rozumnym monarchą.

PREZES AKADEMII.

Rozumny? Tylko rozumny? powiedz, że wspaniałości i wielkoduszności pełen.

REKTOR UNIwersYTETU.

Ma się rozumieć. To właśnie chciałem wyrazić.

Wszyscy już są na swoich miejscach.

SZAMBELAN (na w pół konfidencyjnie).

Uroczą naszą hrabina zaszczyca swoją osobą dzisiejszą uroczystość.

Ogólne poruszenie. Wszyscy wstają.

KOCHANICA (wchodzi, za nią dwie panie dworskie).

Jak się masz, szambelanku?

SZAMBELAN (całuje ją z galanterią w rękę).

Zbytek łaski, hrabino.

KOCHANICA.

Gdzież są nasi poeci?

SZAMBELAN.

Stawiło się ich czterech.

KOCHANICA.

Proszę mi po konkursie przedstawić zwycięzcę.

SZAMBELAN.

Zwycięzcy nic dziś do szczęścia nie będzie brakowało.

KOCHANICA.

Jak się masz, jenerale?

JENERAŁ-KONDOTIER.

Pani!

KOCHANICA.

Mamy dziś uroczystość zupełnie nową. Czy lubisz nowości, jenerale?

JENERAŁ-KONDOTIER.

Nienawidzę ich, hrabino. Ja jestem stary rębacz. Szanuję krzyżową sztukę. A reszta, to faramuski.

KOCHANICA.

Podobno byłeś temi czasy bardzo niešťczęśliwy w grze w kości?

JENERAŁ-KONDOTIER.

Ach, kości — szelmy. Zdradziły mnie,

piękna hrabino, jakby to były kochanki. Ale ja się nie poddaję. Odegram się.

KOCHANICA.

Zrobisz mi przez to prawdziwą przyjemność.

(Daje mu rękę do pocałowania).

PAN 1.

Czekamy na ciebie wiernie, hrabino.

PAN 2.

Poeci nie odrywają od ciebie oczu, spójrz tylko.

PAN 3.

To niebezpieczne. Mogą zapomnieć języka w gębie, gdy im będzie najpotrzebniejszy. Kochanica siada na swoim krześle. Panie i panowie ją otaczają, prowadząc zalotną rozmowę.

SZAMBELAN.

Marszałek nasz potężny!

MARSZAŁEK wchodzi. Bardzo dumny i pyszny. Wszyscy witają go niskimi ukłonami. On przechodzi przez scenę; ledwie kiwnął głową Prezesowi Akademii i Rektorowi Uniwersytetu. Złożył ukłon nieco uprzejmy Jenerałowi. Nagle przed Kochanicą zgina się w pół bardzo uniżenie. Staje przy tronie.

SZAMBELAN (uroczyście).

Najdostojniejszy pan nasz i monarcha!

KRÓL (wchodzi w asyście paziów. Przedwcześnie postarzały. Zajmuje miejsce na tronie. Daje znak głową Marszałkowi).

MARSZAŁEK.

Popis otwarty. Pan nasz miłościwy. Gorące ody swych poetów przyjmie, Każdego raczy cierpliwie wysłuchać, Najgodniejszemu łaskę swą okaże — Ci, co od losu dar słowa dostali, Niechaj przed tronem rozwiążą swe usta— Niechaj wyrazy dadzą tym uczuciom, Które mi naród oddycha szczęśliwy,— Wdzięczny za siłę, która nad nim czuwa. I niech leniwej historyi wyroki Wyprzedzą śmieje. Zadanie ich proste: W słowniku pięknych nie braknie wyrazów, Ażeby uczcić, to, co najgodniejsze — Aby dać temu, co najwyższe, stopień. Takich słów dzisiaj sporo posłyszymy. Wy zaś, panowie, szczęśliwi świadkowie Nowego aktu pańskiej łaskawości, Podsyćcie w sobie ogień uwielbienia I żar wierności dla naszego króla.

(Wszyscy na to wezwanie składają pokłon królowi).

SZAMBELAN.

Najdostojniejszy panie, nasz prezes Akademii prosi o głos.

KOCHANICA (do panów).

Zobaczmy, co powie nasz prezes Akademii.

PREZES AKADEMII.

Okryta blaskiem chwały Akademia,
 Której z rozkazu twego przewodniczę,
 Skwapliwie chwytą okazyę dzisiejszą,
 Aby przed twoim, królu, majestatem
 Powtórzyć słowa czci swej najpocziwszej.—
 Do słów tych dzięki nasze dodajemy,
 Że w swej mądrości, której tylko dobroć
 Twoja dorówna, a którą potęga
 Twoja przewyższa jedynie, raczyłeś
 Poezyi rzucić podniosłe tematy. —
 One ją w szatą nowej dostojności
 Przystroić mogą i w ludzkim szacunku
 Podnieść do rangi wyższej, niż posiada.
 Poezya chętnie na manowce skręca.
 Rytmów melodye i rymów purpurę
 Podaje rzeczom swawolnym i płochym,
 Albo niegodnym, albo niecotliwym.
 Ty ją nawracasz na drogi pocziwe,
 Dając na pokarm jej swoją potęgę,
 Która, jak słońce nad dniem tak się zwiśa
 Nad czasem, w którym, szczęśliwi, żyjemy.—
 Do łask twych, królu, którymi nagrodzisz
 Dzisiaj natchnienie, nasza Akademia
 Dorzuci nowe: swe wrota dostojne
 Zwycięzcy, jako swojemu, otworzy.
 (Poruszenie między poetami).

POETA 4 (do pierwszego).

Tak piekło kusi, coraz to inaczej, sła-
 bość człowieka.

SZAMBELAN.

Najdostojniejszy panie, rektor naszej
 Wszechnicy prosi o słowo.

KOCHANICA (j. w.).

Cóż powie rektor naszej Wszechnicy?

REKTOR WSZECHNICY.

Stara Wszechnica, na której rektorem
 Być mi kazaleś, niegodnemu słudze,
 Od profesorów przynosi ci hołdy.
 My to w młodzieży lekkomyślne głowy
 Wciskamy karność dla twoich rozkazów
 I cześć dla dróg tych, którymi prowadzisz.
 Ręką surową naród do przyszłości. —
 Dziś tej młodzieży odsłonić raczyłeś,
 Że i poety zawód stać się może
 Godności pełnym, a korzyści sytym,
 Kiedy się zwróci w stronę tronu twego,
 Jak kwiat ku słońcu. Zwycięzcy przynosim
 Honoris causa doktorski pergamin —
 Nie masz honoru bowiem dla pieśniarza,
 I być nie może nad tworzenie pieśni,
 Które pokornie przed twym tronem klękają.

POETA 4 (j. w.).

Ah! nędznicy, jak oni się znęcają nad poezją.

SZAMBELAN (podaje poetom urnę).

Ciagnijcie, proszę, panowie numery.

POETA 1.

Ja mam numer pierwszy.

POETA 4.

A ja ostatni. Tem lepiej.

(Poeci, pokazawszy swe numery szambelanowi, wrzucają je do urny, którą paż odnosi).

MARSZAŁEK.

Śmiało w zapasy, panowie poeci!
Przystąpcie bliżej, lęku się pozbadźcie!
Król miłościwy, gotów jest was słuchać.

Poeci postępują ku środkowi sceny.

POETA 1 (na znak dany przez Szambelana występuje naprzód. Rozwija zwój i czyta z niego).

Śród klejnotów, któremi błyszczą twa korona
Jest szafir wschodni, — królów zazdrość, po-
[dziw świata.

Zda się, że weń ukropili cały błękit nieba
Potężni olbrzymowie, którym jest igraszką
Kopać doły na morza, lodem skuwać góry.
W koronie cnót twych, królu, podobny jest
[klejnot,

Który swym blaskiem słaby wzrok przeraża:

To *Wola* twoja, panie! Prometeuszowe
To gniazdo, nad szczytami ludzkości uwite,
Ogni pełne.

Zeń spadają na wrogi groźne huragany,
Zeń spływają pogody na wiernych poddanych.
Jeżeli wola królów ostrzem jest narodów,
To żadne od naszego nie jest hartowniejsze;
Jeżeli wola królów jest ludów przyszłością.
To żaden od naszego w dal głębszą nie patrzy;

Jeżeli wola królów jest bogactwem krajów,
Tośmy wielcy bogacze między narodami.
Lutnia poety sama pokornie się stroi.
Gdy jej opiewać wolno—klejnot woli twojej.

Składa ukłon i oddaje zwój Szambelanowi.

POETA 4 (n. str.).

Kaluża potwornych pochlebstw.
Milczenie.

KRÓL (do kochanicy).

Co myślisz o tem, hrabino?

KOCHANICA.

Gładko to wchodzi do ucha. Warte sto złotych. Ale pewno nie więcej.

PREZES AKADEMII.

Istotnie, poprawne i nic nad to.

REKTOR UNIWERSYTETU.

Mierne, w samej rzeczy.

Szambelan daje znak Poecie drugiemu.

POETA 2 (bardzo pewny siebie).

Synowie Apolina, muzy kochankowie
Dziś u tronu twojego stanęliśmy stopni;
W wierności niezachwiani, w natchnieniu po-
[hopni
Wiecznej sławy przynosim ci złote wezgielnie!

Niechaj sztuka misterna sonetu opowie
Dalekim pokoleniom czar twego imienia,

I niechaj sławią wielkość twojego istnienia
Synowie Apolina, muzy kochankowie!

Muzy nam dziś kazały swoje hołdy kłaść ci!
Więc naści, królu, laury, więc wawrzyny naści!
Naści ofiary dumne, najwyższe, najszczerze,
O monarcho! poetów twych podniosłe wiersze!
Ty, coś od ludu przyjął dar skromny miłości
Od poetów dar wielki przyjm—nieśmiertelności.

KRÓL (j. w.).

Co sądzisz o tym poecie, hrabino?

KOCHANICA (śmiejąc się).

Warte sto bizunów...

PANOWIE (czynią jej dworne wymówki).

Ah! aaa! Méchant e!...

KOCHANICA (odpowiadając jakby na to).

Nie więcej.

PREZES AKADEMII.

Zupełnie słabe.

REKTOR UNIwersYTETU.

Martwe.

JENERAŁ KONDOTIER.

Mówiłem: Faramuszkii.

POETA 3.

Na królewską purpurę raczyłeś, o panie,
Przyjąć śpiewnych słowików srebrne amaranty,

Aby na szlaku wieków, w przeznaczeń ry-
[dwanie,
Ludom niepamiętliwym dzwoniły kuranty!

Tłumy słuchają kornie,
A dworacy dwornie,
Gdy brzmia puzony sławy
I namaszczeń waltornie.

Lecz myśl czująca uchem duszy nie posłyszysz
Tonów, zemdłałych w wieków seladynie ciszy,
Gdzie umierają królom rzucane wiwanty!
Bracia wieszczę! włosy słońca napiąwszy na
[lutnie,

Sypmy, szeptem a gromko, z radością a smutnie,
Na królewską purpurę—śpiewne amaranty.

Długie milczenie.

KRÓL.

Pozostał nam już tylko jeden poeta do
wysłuchania.

POETA 4 (waha się z wystąpieniem. Widać, iż toczy
z sobą walkę okrutną).

SZAMBELAN.

Twoja teraz kolej.

POETA 4 (postępuje naprzód, wahając się. Drżącymi
rękami otwiera zwój. Potem go zwija i znowu roz-
wija).

MARSZAŁEK (do króla).

Stracił nieborak głowę.

POETA 4 (nareszcie gestem rozpacziwym rozdziera
zwój.

KRÓL.

Co to jest? Co to znaczy?

MARSZAŁEK I SZAMBELAN (podbiegają do Poety 4).

POETA 4 (w pół przytomny).

Przebac, o przebac, królu miłościwy,
Że się porwałem, przed twym majestatem
Z rymy nędznymi, zbyt zuchwały, stawić!
Żem chciał wyrazić ubogimi słowy
To, co ma czynów wielkich grzmot i piorun,
A błyskawice rzuca w wieki przyszłe!
Dobroć twa, królu, w woli mej zrodziła
Chęci, od sił mych i od darów wyższel
Lecz w czas spostrzegam, jako nie przystoi
Orla udawać czerwonej biedronce,
I po nad kwietne ogrody wylatać,
Gdzie chmury noszą swe deszcze i grady.

POETA 1 (n. str.).

Zarzyna nas.

POETA 3 (n. s.).

Uh! spryciarz!

POETA 4.

Sam sprawiedliwość czynię moim wierszom.

(Drze je jeszcze).

Niechaj je błoto zgnoi. Przebac, panie,
Żem śmiał niegodny do konkursu stanąć.

Do końca życia zuchwałości mojej
Mi nie pozwoli przebaczyć wstyd gorzki.

KOCHANICA (porwana).

Brawo, poeto!

Ogólny szmer, pełen przychylności dla poety.

KRÓL.

Podobają się nam twoje słowa. Jest
w nich uniesienie. Jeżeliś ułożył sobie to
z góry, coś nam powiedział, jeżeli to był akt
sztuki twojej, zaiste, władasz nią misternie,
i należy ci się nagroda. Jeżeli zaś sentyment
twój nie był obrachowany, jak mniemam, na-
groda ci się należy tembardziej. To, czego
wymówić broniły się twe usta, powiedziało
nam więcej i silniej, aniżeli dźwięczne wyra-
zy, jakie tu słyszeliśmy. Poeto, zwyciężyłeś!

WSZYSCY.

Niech żyje zwycięzca!

Oklaski.

POETA 4.

Co?! co?! ja zwycięzcą?!

Król wstaje i odchodzi. Za nim idzie Kochanica, która
zatrzymuje się przed Poetą 4 i podaje mu rękę do po-
całowania.

KOCHANICA.

Winszuję, poeto, winszuję. I polecam
się łaskawym względom twojej muzy. Mam
nadzieję, że i dla mnie coś napiszesz. Nie

jestem wymagająca, przyjmę nawet epigramat,
ale pod warunkiem, iż będzie on ścisłą tajem-
nicą między nami dwojgiem.

(odchodzi)!

PREZES AKADEMII.

Witam cię, kolego!

REKTOR UNIWERSYTETU.

Witam cię, doktorze.

(Poeci kłaniają się zwycięzcy).

POETA 4 (do Poety 1).

Słuchaj, tu, przed chwilą, powiedziałeś
mi kilka słów, które mogły być podszeptane
tylko przez dobroć i roztropność. Jesteś pra-
wym człowiekiem. Proszę cię, wyświadczyć mi
jedną wielką przysługę.

POETA 1.

Ależ sto, nie jedną.

POETA 4.

Proszę cię, daj mi w twarz.

POETA 1.

Oh!...

POETA 4.

Proszę cię bardzo. Nikt nigdy więcej
odemnie nie zasłużył na policzek z ręki uczi-
wego człowieka.

POETA 1.

Uspokój się nareszcie. Zrobiłeś karierę.
Winszuję ci. A jeżeli po namyśle dojdiesz
do przekonania, że cię moimi radami po-
pchnął na dobrą drogę, łatwo ci będzie teraz
wyrównać rachunki.

Trzej panowie przedstawiają się Poccie 4.

PAN 1.

Jestem hrabia na Wielkich Górach. Miło
mi powinszować zwycięstwa.

PAN 2.

Książę Nowego Dworu. Ja zawsze ceni-
łem poezję.

PAN 3.

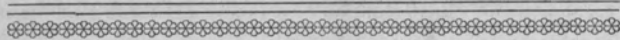
Baron z Sępicz Borów. Poeta królewski
nie odmówi zabawić się tego wieczora w na-
szem towarzystwie?

MARSZAŁEK (do Heroldów).

Otrąbić z balkonów zamku imię zwycięzcy.
Heroldowie wstępują na balkony i poczynają trąbić.

Zastona spada.





AKT II.

KOMNATA KRÓLEWSKA.

KRÓL zamysłony i chmurny siedzi przy stole, MARSZAŁEK stoi przy nim. W głębi ŚPIEWAK I KAPEŁA. Przy podniesieniu zasłony słychać dźwięki kapeli, które wkrótce potem milkną.

KRÓL (do siebie).

Dziwna rzecz, jestem smutny. Nie powinienem, a jestem. Smutek ogarnia mnie ze wszystkich stron.

MARSZAŁEK.

Może teraz piosenkę znowu?

KRÓL.

Dobrze, niech mi zaśpiewają... Niech mi zaśpiewają coś prostego, chłopskiego, pierwotnego.

MARSZAŁEK.

Rozumiem coś rubasznego, sproszonego
(porozumiewa się z kapelą).

PIOSNKA.

ŚPIEWAK.

Bieguie hoża Maryś drogą
 Depcze trawy bosą nogą,
 Lecz patrzajno, moja złota,
 Tam droga wiedzie przez błota.
 Aby przebyć ten dół brzydki
 Ugnij że się do pół-łydki.

CHÓR.

Ha! ha! ha!

ŚPIEWAK.

Aby przebyć ten dół brzydki
 Ugnij że się do pół łydki.

CHÓR.

Ha! ha! ha!

MARSZAŁEK (śledzi pilnie twarz króla, który nic po
 sobie nie zdradza. Nieśmiało).

Nie, nie. Piosnka nie jest szczególna.

ŚPIEWAK.

Maryś, co ma tchu ucieka,
 Lecz przed nią droga daleka —
 W bagnie, co je widać z górki,
 Siedzom „ziaby“ i jaszczurki
 By im ujść Maryś kochana,
 Ugnij że się po kolana.

CHÓR.

Ha! ha! ha!

ŚPIEWAK.

By im ujść, Maryś kochana.

CHÓR.

Ha! ha! ha!
 Ugnij że się po kolana.

MARSZAŁEK (j. w.).

Nie, ta piosnka nic nie jest warta.

ŚPIEWAK.

Maryś ciągem co tchu bieży
 E! czy zdążysz do wieczerzy,
 Bo tam zsuwa się ze wzgórza
 „Ziaba“—o jej!— taka duża.
 Jurna, niech ja porwą dyaski,
 Łbisko czarne,—portki w paski.

CHÓR.

Ha! ha! ha!

ŚPIEWAK.

Kiedy się do ciebie zbliży,
 Ty się ugnij...

CHÓR (śmieje się cienko, długo, i zjadliwie).

Ha! ha! ha! ha! ha! ha!

KRÓL (wybucha nagle śmiechem).

Ha! ha! ha!

MARSZAŁEK (czempredzej poczyna się śmiać).

Na honor, wyborna piosnka! Wyborna
 od początku do końca.



KRÓL.

Tak to lubię! Śmiech ordynarny jest
szczyry. Brak mi właśnie wesołości.

(Milknie i chmurnieje P. ch. m.).

Dosyc muzyki.

Marszałek odprawia kapekę.

Chodź-no tu, mój marszałku. Bliżej.
Chcę ci zadać parę niedyskretnych pytań. To
mnie może rozerwie trochę!

MARSZAŁEK.

Najmiłościwszy Panie.

KRÓL.

Powiedz mi, szczerze... Ale czy tylko
powiesz mi szczerze?

MARSZAŁEK.

Powiem, monarcho, powiem. Ty wiesz,
że nigdy, nigdy, przed tobą nie kłamię. Jest
to mój system. Ty mnie znasz przecież, panie.

KRÓL.

Tak, ja cię znam. Dobrze cię znam.
Wiem, że jesteś największym łotrem w całym
państwie. Dlatego właśnie dałem ci najwięk-
szy w państwie urząd. Nikt nie ośmieli się
zarzucić mnie, iż jestem niekonsekwentny.
Tak, doprawdy, jesteś rzadkim okazem łotra,
w którym nigdy nie przemówił żaden skru-
puł. Jesteś łotrem—bez słabości.

MARSZAŁEK (uszcześliwiony, kłania się).
Oh, najmiłościwszy panie.

KRÓL.

Tak mi się przynajmniej zdaje. Ale, wi-
dzisz, człowiek— to wielka zagadka. Czy ja
mogę być absolutnie pewien, że ty nie cho-
wasz czegoś, w jakim najciemniejszym zakąt-
ku duszy,—czegoś, co by było naprzykład po-
dobne do wstydu.

MARSZAŁEK.

To się po mnie nie pokaże, najdostoj-
niejszy panie.

KRÓL.

Nie znoszę obłudy, wiesz o tem.

MARSZAŁEK.

Ja jej również nie znoszę.

KRÓL.

Już w ostateczności,—wołę cnotę.

MARSZAŁEK.

I ja również w ostateczności... (zatrzymuje
się). Hm!

KRÓL (śledził ten gest).

Dobrze. Bardzo dobrze. Widzę, że na
twoją szczerść można rachować. Więc słu-
chaj, powiedz mi, czy dla mojej miłości, dla
mojej łaski, dla mnie jednym słowem, gotów

był byś istotnie do wszystkiego? do wszystkich niechlujstw? do wszystkich podłości?

MARSZAŁEK.

Najniezawodniej, monarcho. Niema nic na świecie takiego, co by mi zrobić dla Ciebie czyniło różnicę.

KRÓL (drażni go).

Chwalisz się, złodzieju?

MARSZAŁEK.

Ażalim się zawahał na jedno oka mgnienie przed którymś z twoich rozkazów? Ażalim jakiego nie wypełnił ściśle do końca. Ażali widzisz mnie, panie, w myśli swojej, chwiejącego się kiedykolwiek wobec twoich poleceń?

KRÓL.

No... nie mówię... Ale pomyśl jednak dobrze. Może jest takie obrzydliwe i wstrętne paskudztwo, przed którym byś drgnął. Poszukaj dobrze w swojej głowie?

MARSZAŁEK.

Szukam—i nie znajduję.

KRÓL.

Myślę, że masz za mało wyobraźni.

(p. ch. m.).

Cóż tam słyhać nowego?

MARSZAŁEK.

Muszę ci donieść, najdostojniejszy panie,

o durnych plotkach, jakie zaczynają się gnieździć pomiędzy ludem. Śmieszne to, i na razie nie zwracałem wcale uwagi, gdy mi denuncyje te plotki przyniosły. Pomędzy denuncyantami bowiem okazuje się wielu hołyszów, co to psim swędem chcieli by zarobić trochę złota. Muszę ich ostro trzymać. Ale plotki te znoszą mi już zewsząd. Uśmiejesz się z nich, najdostojniejszy panie.

KRÓL.

Cóż to za plotki?

MARSZAŁEK.

Gawędzi sobie pocziwy ludek, że ty, najdostojniejszy panie, wysłuchujesz rad—satego dyabła. Ha! ha! ha!

KRÓL (zaskoczony).

Tak lud szepce?

MARSZAŁEK (wesolo).

Ni mniej, ni więcej.

KRÓL (marszczy się).

Zkąd im ta myśl?...

MARSZAŁEK.

Gusła. Zabobony. Ciemnota. Przecież dyabła niema na świecie.

KRÓL.

Niema? A ty skąd wiesz o tem?

MARSZAŁEK.

Gdyby był dyabeł, to byłby i Bóg. A toć jest przecie oczywiście, że Boga niema. Wszak takim jest i twoje zdanie, najdostojniejszy panie...

KRÓL.

Jakiem jest moje zdanie, tobie nic do tego.

MARSZAŁEK.

Byłbym zrozpaczony...

KRÓL (surowo).

Cóż więcej słyhać?

MARSZAŁEK.

Nic nad to...

KRÓL.

Czy spokojnie w kraju? Czy nikt nie szerzy niezadowolonia? Czy został ukarany ten jakiś dzwonnik, który w górach dawał się słyszeć z zuchwałemi przemówieniami?

MARSZAŁEK (drgnął).

KRÓL.

Co to znaczy?

MARSZAŁEK (milczy).

KRÓL.

Ty coś kryjesz przedemną!

MARSZAŁEK (pada na kolana).

Nie, nie kryję, najdostojniejszy panie.

Pragnąłem tylko wybrać najlepszy moment, aby ci o tym nędzniku oznajmić.

KRÓL.

Najlepszy moment?...

MARSZAŁEK.

Tak jest, kiedy mieć go będę w najciemniejszym lochu, owiązanego żelaznymi powrozami i ze stalowym kagańcem na pysku.

KRÓL.

Więceś go jeszcze nie pochwycił?

MARSZAŁEK.

Ludność górską nie chce wyjawić, gdzie się nędznik ukrywa.

KRÓL.

I ty o tem nie wiesz — nic?

MARSZAŁEK.

Wiem, najdostojniejszy panie, wiem, niestety, nie jest on w górach.

KRÓL.

Gdzie więc jest?

MARSZAŁEK.

Nic przed tobą nie skłamię. On jest w stolicy.

KRÓL.

Co? tu?

MARSZAŁEK.

Od wczoraj.

KRÓL.

I lud buntuje?

MARSZAŁEK.

Dwa razy przemawiał do zbiegowiska.

KRÓL.

I uszedł?! A to ładnie mi służycie?!

MARSZAŁEK.

Dziś w nocy będę go miał niezawodnie.
Wydałem najsurowsze rozkazy.

KRÓL.

Ale czemu go nie łapią ci, do których mówi? Czemu lud go słucha? Czemu go osłania?

MARSZAŁEK.

Stropieni są jego niesłychana zuchwałością. Głowę tracą.

KRÓL (p. ch. m.).

Jeżeli nie chcesz stracić swojej — jutro buntownik musi być w więzy.

MARSZAŁEK.

Przetrzęsnię całe miasto i będę go miał.

KRÓL.

Pamiętaj. Inaczej — szubienica.

MARSZAŁEK.

Panie, wszak służę ci tak wiernie...

KRÓL.

Więc i cóż? Za to samo właśnie powinienem cię dawno już kazać powiesić. Nie jesteś bowiem tak wielkim łotrem, za jakiego cię miałem.

MARSZAŁEK.

Do jutra złapię tego górala.

KRÓL.

W takim razie pożyjesz jeszcze trochę.

MARSZAŁEK.

O! dobry panie...

KRÓL.

Ruszaj!

MARSZAŁEK wstaje z kolan, składa ukłony i wychodzi.

KRÓL (sam).

Zaraz. Zastanówmy się nad tym problemem przez chwilę. Jeżeli mi służy wiernie, — a istotnie wiernie mi służy — w takim razie nie jest największym łotrem w państwie; a ja dając mu największy urząd za to, tem mniej wynagradzam jego łotrostwo, że właśnie wymagam od niego wielkiej i niewzruszonej cnoty: wierności. Hm! (p. ch. m.). A gdybym nie wymagał tej cnoty? Toć bym sam na siebie

różgi wiązał (p. ch. m.). Powiesić go za wierność?! I powiesić go za zdradę?! Zawsze jedno: powiesić?! Nie. Tu coś mi nie wypadła. Zło, same zło, nie wiąże się ze sobą. Nie pierwszy to raz bodaj spostrzegam (p. ch. m.). Jestem smutny i jestem niespokojny. Dlaczego jestem niespokojny? Przecież nie o dzwonnika, którego jutro wydam katu. Albo pojutrze. (Wstaje i drzwi zasuwa na rygiel). To dziwne, że jestem ciągle niespokojny. On stał mi się ciągle potrzebnym, choć nie wymagam jego usług. (Wydobywa pałeczkę magiczną, kreśli na podłodze pentagram). Gdy nie czuje go przy sobie, opuszcza mnie odwaga.

ZAKLĘCIE.

Nieśmiertelny w swojej dumie!

Ku mię! Ku mię!

Nieprzeparty w swym rozumie!

Królu nocy, zła ogromie!

Pospiesz, zjaw się, przybądź do mnie

Niech rozgrzeje mnie twe płomień!

DYABEŁ (zjawia się. Znudzony).

No, jestem.

KRÓL.

To doskonale. Siadaj-że, proszę cię. Wszak masz dla mnie kwadransik wolny?

DYABEŁ.

Czegoż chcesz odemnie?

KRÓL.

Ale naprzód usiądź. Inaczej nie będę mógł z tobą swobodnie pogawędzić. Będzie mi się zdawać, iż jesteś ciągle na wylocie. (Dyabeł siada). Widzisz, chcę, abys mnie pocieszył. Jestem ciągle smutny, choć nie mam żadnych powodów do melancholii. Nie mam też żadnych racyi do niepokojów, a niepokoje ściskają mi serce, jakby z niego wszystką krew wyżąć chciały. Pragnąłem się pokrzepić twoim widokiem. Bo naprawdę, to jest mi tylko wtedy dobrze, kiedy ty do mnie mówisz. Posiadasz dar przekonywania, niema co...

DYABEŁ.

Mamże ciągle powtarzać ci w kółko, jak nańka małemu dziecku: „chodziła czapla po zielonej desce,—powiedzieć ci jeszcze?“

KRÓL.

No, tak. Powtarzaj mi jedno w kółko. Jestem starym, jestem słabym, potrzebuje względów.

DYABEŁ.

I pomyśleć, żem ci dał siłę, jakiej żaden człowiek nie posiada?!

KRÓL.

To prawda. Jestem potężny. Jestem największy z monarchów. Skarbiec mój ledwie pomieścić może złoto, co doń płynie. Robię,

co chcę. Dogadzam wszystkim fantazyom. Siłę mam to pewna. Ale czemu jestem przytem tak niespokojny? czemu jestem tak smutny?

DYABEŁ.

Odrobina spleenu—i już awantury!..

KRÓL.

Tylko nie gniewaj się, mój złociutki.

DYABEŁ (ciągle bardzo znudzony i niemal znużony).

Muszę cię jednak lojalnie uprzedzić, iż, co do nudów, powinienes już zdala nieco nawykać...

KRÓL.

Doprawdy?

DYABEŁ.

Od tego jednego cię nie ocalę. Ah! czas, czas! Co za okrutne zwierzę. Dziś go zabijasz—jutro staje przed tobą, taki sam, jaki był wczora, ten sam, zawsze z sobą indentyczny, ze wszystkimi swemi zębami i pazurami w komplecie. Przytem bezkształtny a ohydny. Nieokreślony a potworniejszy, aniżeli całe piekło. Leci, pędzi, ucieka,—a zawsze jest tuż, tuż przy tobie i przed tobą. Zawsze niesie przed tobą tę rzecz, po miliony milionów razy przeklętą: jutro. Jutro, jutro,—plugawe i jadowite jutro... Ah! nieśmiertelność, piękny to wyraz w języku

waszych teologów i poetów. Hypnotyzujecie niem śmierć. Ale gdy się raz, kochanku. znajdziesz na pełnym oceanie nieśmiertelności, ucałowałbyś z najwyższą rozkoszą wszystkie suche kosteczki, kumy-śmierci, gdyby tylko ona była łaskawą oddać ci jeden pocałunek, po którymby nastąpiło—wieczne Nic. Nieśmiertelność, to rzecz straszna; piekło w porównaniu z nią, z całą jego furią, to fraszki. Musisz się przyzwyczaić do nudów, przyjacielu.

KRÓL.

Na to niema rady nawet w piekle?

DYABEŁ.

Nie, niema.

KRÓL.

Na to jedno?

DYABEŁ.

Tak, na to jedno.

KRÓL

Przyrzekliście mnie zrobić dyablem. Jednak, gdybyście mnie nie zrobili dyablem!...

DYABEŁ.

Zawsze byłbyś nieśmiertelny, jako istota ludzka. I zawsze byłbyś w piekle, wiesz o tem dobrze. Rozpocząłeś swoją karierę od paru stanowczych aktów,—po których niema

już oglądania się próżnego po za siebie. Trzeba maszerować śmiało naprzód — w tym samym kierunku.

KRÓL.

Gdybym nie zawarł umowy z wami, to nic bym nie wygrał?

DYABEŁ.

Ja myślę... Czy przypadkiem — żałujesz tego chwilami!...

KRÓL.

Cóż znowu?! Czy chcesz mnie obrazić?! Alboż nie jestem wam wierny całe życie?! (p. ch. m.). Tylko, widzisz, chwilami, chwilami nachodzą mnie wątpliwości, — ale ty się nie gniewaj, — czy wy dotrzymacie słowa? czy wy mnie naprawdę zrobicie po śmierci dyabłem? w gruncie rzeczy, to te wątpliwości psują mi wątrobę. Gdybym miał tylko pewność, byłbym doskonale spokojnym a nawet i wesołym.

DYABEŁ.

Marny biurokrata siedzi w twojej królewskiej kopercie. Czyż w takiej zasadniczej sprawie chodzi o jakąś ceremonię? o jakiś patent, czy dyplom na dyabła? o autentyczny podpis dyrekcyi i kancelaryi piekielnej? Dyabłem, mówiłem ci sto razy, możesz się zrobić sam. Znienawidź cnotę całą siłą du-

szy. Ukochaj całą siłą zło, — widoczny dowód pomyłek i błędów, jakie uczynił Ten, który ma się, w swojej pysze nieskończonej, za wszechrozumnego i wszechpotężnego. Codziennie, kiedy ranne wstają zorze, wyciągaj tam, do góry, pięść zaciśniętą wściekle groźbą... Będziesz dyabłem.

KRÓL (p. ch. m.).

Nie! będę dopiero przeklętym!

DYABEŁ.

A czegoż ci będzie brakowało?

KRÓL.

Jakto czego? Funkcyi!

DYABEŁ.

Nie zbraknie ci roboty. Bądź pewien!

KRÓL (sceptycznie).

Ty mi o tem mówisz?!...

DYABEŁ.

A twój rozum nic ci o tem nie mówi?

KRÓL (wątpiaco).

Mój rozum?...

DYABEŁ.

Wszak masz jedną kartę tylko, na którą stawiać możesz. Nie myślisz chyba o niebie? Gdybyś nie pomordował swoich krewnych,

gdybyś nie zagłodził swego ojca — byłbyś równie daleko od nieba jak dziś.

KRÓL (szeptem).

Czy tak?

DYABEŁ.

Powiadam ci szczerze, piekielnie to trudna rzecz: dostać się do nieba. Trzeba wszystkimi swymi siłami iść, przez całe życie,— przeciwko naturze. Próbowaleś ty tego kiedy?

KRÓL.

Zdaje mi się, że nigdy.

DYABEŁ.

Gdybyś próbował, to byś wiedział, że, w miarę oporu, jaki stawiacie naturze, jej siły rosną, i to aż do wściekłości. A na tych, co ją chcą koniecznie zgwałcić — mści się ona okrutnie: z ludzi, towarzyszków swoich, z kamratów, czyni niewolników (konfidencjonalnie). Bo widzisz, natura także nie jest Mu posłuszną.

KRÓL (zasłuchany, szeptem).

Nie?

DYABEŁ.

Ma się rozumieć! Gdyby posłuszną była Jego fantazyom, czyżby sprzeciwiała się cały czas cnocie i sztychła z ideału?

KRÓL (j. w.).

To prawda.

DYABEŁ.

Piekło sto razy łatwiej pozyskać, tysiąc razy, milion razy łatwiej, aniżeli niebo. Dyabli są gościnniejsi od aniołów. I to rzecz zrozumiała. Czyż my wam, a wy nam, nie jesteście bliscy? Czy nie stanowimy jednej, wielkiej rasy istot Niezadowolonych? Czy nie jesteśmy sobie socii doloris w tym bólu bez lekarstwa, które się nazywa istnieniem?

KRÓL.

Jedna rasa? A przecież wy z nami w końcu bardzo źle się obchodzicie.

DYABEŁ.

Trzebaż swoją złość na kimś zostawić?!

KRÓL.

Słuchaj, ale t a m—ja będę z wami, nie z nimi?

DYABEŁ.

Jeżeli sobie na to zasłużysz. Jeżeli ukochasz zło tak, iż najwyższą rozkoszą będzie ci—zło czynić. Jeżeli znieawidzisz Jego dzieło tak, iż twoją naturą, twoją istotą będzie gnębić to, co On stworzył dla swojej chwały. Jeżeli jedynym wyczynem dla twojej duszy stanie się wyciskanie z istot przeklętych, przekleństw coraz straszniejszych, coraz okropniejszych, aż do takich, od których zdrzeć by musiało niebo. Jeżeli to się stanie koniecznością twej natury, nieprzepartą koniecz-

nością — to, choćby ci piekło nie powierzyło żadnej funkcji, wierzaj mi, sam ją sobie wynajdziesz.

KRÓL.

Bez przechwałek mogę powiedzieć, iż czuję się do tego rzeczywiście zdolnym.

DYABEŁ.

A ja bez komplementów ci mówię, że uważam to dla ciebie jako zupełnie przystępne (bardzo poważnie). Idzie o to tylko, abys wytrzymał do końca.

KRÓL.

Wytrwam... wytrwam...

DYABEŁ (uroczyście, cały w ogniowych błyskach).

Niech się tak stanie!

KRÓL.

Pocieszyłeś mnie. Dziękuję ci. Ale siadaj-no jeszcze, proszę cię, przecież nie odlećisz zaraz. Nie masz przecież tak wiele chyba pilnego do roboty?

DYABEŁ (znowu znudzony).

Zawsze się tam coś dłubie.

KRÓL.

Wezwałem cię, abys mnie pokrzepił. Ale chcę się ciebie o to i owo poradzić. Są no winy. Radbym wiedzieć, co o tem myślisz.

DYABEŁ (j. w.).

Mów.

KRÓL.

Dowiedziałem się, że w kraju ludzie szepcą sobie na ucho o naszym stosunku.

DYABEŁ (nagle wesoło).

A co, nie mówiłem?! To sprawka tej klempy, twojej kochanicy. Musiała to rozpowiadać swoim kochankom.

KRÓL (spokojnie).

Ona niema kochanków. Zbyt mądra. Zresztą wcale ich nie potrzebuje. Zimna jak lód. Rozpali cię do białości, a sama się nawet nie zarumieni. Ogień na zimno. Ah, takie robią z człowiekiem co zechcą. A co za mistrzyni rozkoszy i zepsucia?! Zresztą, sam wiesz o tem. Tyś mi ją przecież wynalazł.

DYABEŁ.

Ale jest babą i nie umie języka utrzymać za zębami.

KRÓL.

Myślisz ciągle, że to ona?

DYABEŁ.

Nie ja przecież i nie ty. A ona jedna jest wtajemniczona. Przez ciebie...

KRÓL.

Widzisz...

DYABEŁ (wesolo ciągle).

Wiem, wiem. Chciałeś się przed tą sroką pochwalić, że jesteś więcej nawet, aniżeli królem.

KRÓL.

Ty się śmiejesz?

DYABEŁ.

Nie gniewam przynajmniej. Cóż, że ludzie o nas gadają? Ja nie wiem, czy nie lepiej by było objawić ludowi całą prawdę. W manifestcie. Co?... Nie opiekowałem się przecież źle twojem państwem. Zwycięzałeś,—zabory czyniłeś,—do niewoli ludy brałeś i wydziedziczałeś ich z ojcowizny, póki cię to bawiło. Twój naród ma cię za co kochać. Byłoby sprawiedliwie, aby i mnie się coś z tego dostało, mnie, który jestem instrumentem twojej potęgi.

KRÓL.

Ty na seryo mówisz?

DYABEŁ. (Roześmiewszy się).

Wszak widzisz, że żartuję. Ja jestem skromny (ironicznie). Mnie nie potrzeba ani napisów, ani hymnów, ani kadzideł, ani świątyń (lirycznie). Ci co mi ufają — niech noszą mnie w sercu (p. ch. m.). Co jeszcze?

KRÓL.

Drobiazg. Nowy buntownik.

DYABEŁ (macha lekceważąco ręką).

KRÓL.

Ale, co dziwne, ludzie go słuchają. I co gorsza, ostrzegają go przed moimi zbirami. Od wczoraj jest w stolicy, gada publicznie, i nie można go złowić.

DYABEŁ.

Jakiś niezwykły ptaszek.

KRÓL.

Jeżeli marszałek do jutra go nie dostanie, pójdzie sam na postronek.

DYABEŁ.

Stracisz dobrego marszałka.

KRÓL.

Nie zbraknie mi ludzi na ten urząd. Mam pod ręką paru łotrów, może nawet większych od niego.

DYABEŁ.

Ot, co cię tak niepokoiło.

KRÓL.

Ba! jeżeli z łaski twoich rad, mam mieć na karku rewolucję?...

DYABEŁ.

Krzywisz się na rewolucję?... Hm! Czy ty wiesz, kto urządził połowę — nawet dobrą połowę rewolucyi w historii ludzkości?

KRÓL.

No?

DYABEŁ (nic nie mówi, tylko zakłada palec na kami-
zelkę i robi minę dumną, z odcieniem komizmu).

KRÓL (ździwiony).

Proszę... No, ale kto robił tę drugą po-
łowę, mniej dobrą?

DYABEŁ.

Ach! (robi gest, jakby mówił, że nie można za-
wiele żądać od niego). Ptaszka trzeba złowić —
i dać mu naukę.

KRÓL.

Starczy mu ta nauka na resztę żywota.

DYABEŁ.

Poza tem, nic się nie bój. Przegnoiliśmy
ludzi uczciwie. Wszyscy się siebie boją wza-
jemnie, co już jest nieźle; i wszyscy na siebie
wzajemnie donoszą, co jest doskonale. Nar-
waniec musi się pokazać od czasu do czasu.
Tego wymaga rachunek prawdopodobieństwa.

(Pukanie do drzwi).

KRÓL.

To ona, stokrotka. Nie uciekaj, ona cię
bardzo lubi.

DYABEŁ (z galanterią).

To jest wzajemne.

KOCHANICA (wchodzi). DYABEŁ I KOCHANICA śmie-
ją się do siebie czas jakiś, jakby z przekomarzaniem.

DYABEŁ.

Jak się masz, piękna?

KOCHANICA.

Jak się masz, brzydalę?

DYABEŁ.

Czy ja, doprawdy, jestem taki brzydki?

KOCHANICA.

Gorzej, niż brzydki. Jesteś nieinteresujący.

KRÓL (ogromnie ubawiony).

A ci się muszą zawsze kłócić!...

DYABEŁ.

Przebiegła kokietko. Wpijas ostre paz-
nogcie w najczulsze moje miejsce. Kobiety
zawsze znajdowały mój rodzaj... piękności
bardzo interesującym.

KOCHANICA.

Nie ja.

DYABEŁ.

Mam powodzenie u dam.

KOCHANICA.

Nie zazdroścę im.

DYABEŁ (z komiczną groźbą).

Wyzywasz mnie?

KOCHANICA.

Nie boję się ciebie—ani tyle (pokazuje na paznociu).

DYABEŁ.

Chcesz, abym cię zdmuchnął temu staremu gamoniowi?

KRÓL (bez gniewu).

Nie ubliżaj mi, słyszysz. I nie darowałbym ci nigdy, gdybyś mi ją zabrał.

DYABEŁ.

O to możesz być spokojny. Co najwyżej bym ją tylko pożyczył.

KOCHANICA.

Gadaj zdrów. Ty wiesz dobrze, że nie będziesz mnie miał nigdy. Ani tu—teraz; ani tam—potem.

DYABEŁ.

Jesteś tego pewna, piękna?

KOCHANICA.

Ja myślę.

KRÓL (ubawiony).

Lubię, jak wy tak ze sobą...

DYABEŁ.

Tu—gdybym ja tylko chciał! Tam—ty tego chcesz tak bardzo, piękna moja.

KOCHANICA.

A więc dowiedz się, mój brzydki, że wszystko com dostała i co dostanę od króla, pójdzie na kościoły i klasztory. Sto tysięcy mszy będzie odprawiane za moją duszę.

KRÓL (śmieje się).

Widzisz ją, jaka mądra!

DYABEŁ.

A jeżeli w dzień otwarcia twego testamentu, piękna, notaryusze w twoich kufkach i szkatułach znajdą tylko trochę łajna?

KRÓL.

On to może zrobić!...

KOCHANICA (bardzo zmieszana).

Doprawdy?

DYABEŁ.

Ba! ja mogę więcej zrobić.

KOCHANICA.

Co takiego?

DYABEŁ.

Powiedz mi, piękna, ile masz lat?

KOCHANICA (z wahaniem).

Dwadzieścia cztery.

DYABEŁ.

Czy chcesz je mieć zawsze?

KRÓL.

Widzisz, widzisz, on i to może zrobić.

KOCHANICA.

Ty możesz to zrobić?

DYABEŁ (ukazuje jej flaszeczkę).

Patrz, piękna, kropla na rok tego eliksiru, a nigdy brzydka zmarszczka nie będzie śmiała znieważyć gładkości twojej twarzy.

KOCHANICA (wyciąga nagle, drapieźnym ruchem rękę).

Tego?

DYABEŁ (jeszcze szybszym ruchem chowa flaszeczkę).

Tak, tego (widząc, że Kochanica się zamyśliła).
Słuchaj, piękna. Na szczycie Łysej-Góry mam wspaniały pałac, ozdobiony wszystkimi temi arcydziełami, które niedołęstwo ludzkie pozwoliło zniszczyć bezmyślnemu czasowi. Czy chcesz go obejrzyć (usiłuje ją objąć w pól).

KOCHANICA (uderza go mocno po łapie):

A bas les pattes!

KRÓL (uszcześliwiony).

Stokrotka! Gołąbka!

KOCHANICA.

Wiem, co ty jesteś za kupiec. Od twego eliksiru dostanę krost na twarzy, albo powypadają mi zęby. Bierz inną na to.

KRÓL (śmieje śmieje się).

A widzisz, a widzisz...

KOCHANICA.

Miałeś szczęście, żeś trafił na takiego niedołęgę. Żebym ja była królem, nie przyjąłabym od ciebie nawet tyle (gest łobuzerski paznogciem o zęby).

DYABEŁ.

Brak ci do mnie zaufania?

KOCHANICA (ironicznie).

Oh! Co to!...

DYABEŁ.

A jednak, proszę cię, królu, powiedz otwarcie tej damie, kto był wam swatem?

KRÓL.

On, on.

DYABEŁ.

Tak, to ja go zaprowadziłem incognito do Eldorado, gdzieś tańczyła słynny swój taniec „Bez wualu“.

KOCHANICA.

Ah! mój słynny taniec?! Czy wiesz, że to ja sama go ułożyłam,—bez niczyjej pomocy?! Eldorado!... Nie było mi tam źle. Mężczyźni szaleli za mną, a ja się nimi bawiłam, jak pajacami z tektury.

KRÓL.

Tak, tak, to on mnie tam zaprowadził.
Wiedział huncwot, czego mi potrzeba.

KOCHANICA (mięko i z widoczną obawą Dyabła).

W takim razie... to co innego... Jeżeli chcesz, pozwolę się pocałować... Ale raz jeden — i przy nim...

DYABEŁ.

Oh! to mi wystarczy.

(Bierze ją powoli za ręce, magnetyzuje wzrokiem, potem chwyta w objęcia, odciąga od króla w stronę i całuje w usta).

KOCHANICA (poczyna się mieszać, drży, mruży oczy).

Jak ty dziwnie całujesz! (po dłuższej ch. m.).
Co to było? Co to jest?

DYABEŁ (z ukłonem).

Dziewico, to jest pasya.

KOCHANICA (nagle zmieniona).

Pasya? To jest pasya? To jest namiętność?!

DYABEŁ (j. w.).

Do usług.

KOCHANICA.

Ah! więc to oni t o czują, gdy się do mnie zbliżają?

DYABEŁ.

Dokładnie.

KOCHANICA.

To jest to?!...

DYABEŁ.

Tak, to jest właśnie — twój sekret. Twój własny. Czy jestem grzeczny, powiedz? Odkryłem ci go bezpłatnie.

KOCHANICA (p. ch. m. oszłamiona, wybucha w końcu).

Ah, podły! Teraz ja będę od nich zależała! Teraz oni będą się mną bawili!

KRÓL (zbliża się do nich).

A ci się ciągle kłóca... No, chodź, stokrotko. Zetrę ten obrzydliwy pocałunek z twoich warg mojej ustami.

KOCHANICA (patrzy nań chwilę z pogardą i wstrętem).

Ty?! Precz! (wybiega).

KRÓL (z wielkim spokojem).

Cóż to ją znowu ukąsiło?!

DYABEŁ (robi gest, że nie wie).

KRÓL.

Ty coś tu nabroiłeś?!

DYABEŁ.

Cóż to? Czy ona pierwszy raz potraktowała cię jak psa?

KRÓL.

No, nie... Ale zmieniła się tak nagle (proszaco). Ale, słuchaj, ty mi jej nie zabierzesz?

DYABEŁ (wzrusza ramionami).

KRÓL.

To dobrze. Ona nie ma sobie równej. Wyrzekłem się wszystkich dziewic, odkąd jej dotknąłem. Bez niej jednej nie mógłbym się obejść. No, i bez ciebie.

DYABEŁ (dziękuje mu ukłonem, z dyskretną galanterią).

Hałas za sceną, który szybko rośnie.

KRÓL.

Coś się stało.

DYABEŁ.

Sprawy państwowe. Żegnam cię.

KRÓL.

Prosiłem cię, żebyś mi tego słowa nie mówił nigdy. Przecież to tak ładnie powiedzieć: „do widzenia“.

DYABEŁ (z komiczną czułością).

Więc „do widzenia“, kochanie... (posyła mu ręką pocałunek).

KRÓL.

Do widzenia (pocałunek ręką).

DYABEŁ.

Jeszcze raz (j. w.).

KRÓL.

Jeszcze raz (j. w.).

DYABEŁ.

Ty — mój (j. w.).

KRÓL.

Twój! Twój!

DYABEŁ gaśnie; jego kolory jasne i jaskrawe zamieniają się na szaro-fioletowe i zlewają z tłem. Staje się niewidzialnym. Zostaje na scenie do końca aktu, wciśnięty we framugą okienną. Król odryglowuje drzwi.

MARSZAŁEK (wbiega).

Najdostojniejszy panie, mamy go już. Jest, jest!

KRÓL.

Kto?

MARSZAŁEK.

Dzwonnik! góral! buntownik!

KRÓL.

Ah! nareszcie.

MARSZAŁEK.

Jest. Straż go już otoczyła. Czy go wrzucić wprost do lochu?

KRÓL (po chwili namysłu).

Przywiedź go tu.

MARSZAŁEK daje znak.

DWAJ ŻOŁNIERZE wprowadzają DZWONNIKA. Jest to młody człowiek w góralskim ubiorze, o jasnym spojrzeniu.

MARSZAŁEK.

Oto on!

ŻOŁNIERZ 1.

To ja go pochwyciłem, królu, gdy się skradał do zamku.

ŻOŁNIERZ 2.

Nieprawda, to ja. Ja pierwszy położyłem mu łapę na ramieniu, ot tak..

ŻOŁNIERZ 1.

Nie wierz mu, panie...

ŻOŁNIERZ 2.

Ty kłamco niegodziwy...

MARSZAŁEK.

Milczcie oba!

KRÓL.

Dać im nagrodę obu.

DZWONNIK.

Zasłużyli na nią, królu, istotnie. Ale odemnie. Uczynili tylko to, o com ich gorąco prosił: przyprowadzili mnie przed twoje oblicze. Ale jakąż ja wam mogę dać nagrodę, przyjaciele? Biedak jestem. Jedno dobre słowo.

KRÓL.

Tys ich o to prosił?! Prawdaż-to?

ŻOŁNIERZ 1.

Ktoby tam uważał na prośby jakiegoś nicponia.

ŻOŁNIERZ 2.

Hm! toć prawda, prosił w istocie...

KRÓL.

Proszę?! Mów więc, czego chcesz?

DZWONNIK.

Abyś mnie wysłuchał, królu.

KRÓL.

Musisz mieć ważne rzeczy do powiedzenia. Bardzo ważne. Król nie jest od tego, aby się w gawędy wdawał z pierwszym lepszym zuchwalcem. Winienesz przecież o tem wiedzieć?

DZWONNIK skłania głowę.

KRÓL.

Wiesz o tem?! Bardzo dobrze. Jeżeli to, co mi powiesz, nie będzie ważnem, bardzo ważnem, czeka cię sroga pokuta, mój chłopcze. Czy to, co chcesz mi powiedzieć, jest to, to samo, coś rozpowiadał wczoraj i dziś ludziom na placach miejskich?

DZWONNIK.

Tak, królu.

KRÓL.

I pilno ci mi to powtórzyć?

DZWONNIK.

Tak, królu.

KRÓL.

Dobrze. Cóż zatem im rozpowiadałeś?
O czym ich przekonywałeś? Cóż to jest za
wielka prawda, którą im tak zawzięcie głó-
siłeś?

DZWONNIK.

Że jest Bóg nad nami.

KRÓL (wzrusza ramionami).

Więc cóż z tego?

DZWONNIK (z siłą).

Tys o tem zapomniał, królu.

KRÓL.

Jesteś bardzo poufały, mój góralu.

DZWONNIK.

Jestem wysłańcem Boga. On to krzy-
kiem groźnym zawołał w duszy mojej, abym
szedł przed ciebie, i abym ci przypomniał, iż
On, Sprawiedliwy, ma w ręku swem kary,
równe winom. Królu, winy twoje są wielkie.

MARSZAŁEK.

Trzeba zamknąć mu gębę (podnosi pięść).

KRÓL (spokojnie).

Odstąp; niech mówi.

DYRBEŁ w czasie przemówień Dzwonnika wije się
i rzuca z rosnącą wściekłością.

DZWONNIK.

Na straszliwe manowce skierowałeś sto-
py twoje, królu, i naród na pochyłości wy-
ciągnąłeś! Zasługę poniewierasz! Wynagra-
dzasz występki! Wszystkim grzechom śmier-
telnym świątynie stawiasz! Twój grzech spa-
da z wysoka i po narodzie się toczy, jak la-
wina strącona ze szczytu góry! Tysiące
kwiatów dobrej nadziei i pocziwej chęci gi-
nie po drodze, a złym chwastom występku
robi szerokie miejsce. W państwie twojem
to tylko się pleni, czego nikt nie hoduje!
W sercach poddanych twoich lepkie gady
i jadowite węże usłały sobie gniazda, aby li-
czne potomstwo wychować. Czy słuchałeś
kiedy, co wołają trąby heroldów twoich po
narodzie? Krzyczą one: „Tu! do tronu, kru-
ki i sępy ludzkie! tu! do króla, ludzkie lisy
i wilki! Tu was czeka łup i swoboda“. Za-
mek twój, królu, opasało kołem stado hyjen,
których wycia głośzą ludzkie głosy; nie do-
puszczą one do uszu twoich, panie, żadnego
dźwięku, o miłosierdzie błagającego, żadnego
jęku, wydzierającego się rozpaczą. A tej roz-
paczy pełno tam, gdzie, występki hojnie ob-
darowany, nie wyprawia sobie sutych godów.
Na wywrót wszystko u nas żyje. Przejdź się

po narodzie, królu, — posłuchaj nieszczęśliwych, — zmień doradców!

ŻOŁNIERZ 1.

A to szczeka.

ŻOŁNIERZ 2.

Śmiało staje, doprawdy.

KRÓL.

Któż ty jesteś?

DZWONNIK.

Człowiek boży.

KRÓL.

Czem się trudniłeś dotąd?

DZWONNIK.

Byłem dzwonnikiem, jak mój ojciec, dopóki nie rozkazałeś dzwonom umilknąć, chwale boskiej się sprzeciwiając. Wcześniej przestałem być dzieckiem. Wcześniej niepokój zajrzał do mojej duszy. Serce moje krwawiło się coraz mocniej, kiedy widział świat, stawający mi się w oczach gorszym, w miarę jak podrastałem, a życie brzydsze, w miarę jak je ogarniałem. Takimże świat stworzył Pan Bóg? Taką-że ustanowił kolej żywota? rozmyślałem. Na toż silny ma moc, aby słabego dusił? Na to jest słaby, aby był grabiony? Maż sędzia sprzedawać sprawiedliwość więcej dającemu, jak komornik prze-

daje sprzęty na licytacji? Maż iść najwięcej czci i pokłonów temu, co innych podpatruje i wydają? Takiem-że jest *prawo*? Takim-że jest *porządek*? Nie mogło się to zmieścić w głowie mojej, a gdy szarpał za sznur w dzwonnicy, razem z tłuczeniem serca żelaznego o spiż dzwonu, tłukło się serce moje o pierś obolałą. I gdy dzwon wołał skargami w niebogłoty, serce moje jęczało: „Panie! zlituj się nad nami!“ I czekałem, aż Bóg wysłucha głosu tych dwu serc, wołających do niego z jednej wieży kościelnej. Aż raz zbiry przybyły do wieży, kazały mi iść precz i nigdy nie wracać, a drzwi dzwonnicy zarygłowały na moc. Uczułem się jakby wyrzucony na pustynię, jakby wtrącony w noc, bez gwiazd i miesiąca. Czarne chmury usiadły na mojej głowie, a myśl była jako w skazanym na śmierć. Ale powoli przesiąkać poczynało do mnie światło i przeciskać się życie. W bólu i męce sączyło się ono do mojej głowy. Aż stał się w niej dzień. Zrozumiałem. Zrozumiałem, że zło od ciebie idzie na ludzi, królu! ty podtrzymujesz, rozdmuchujesz, podniecasz i rozplamieniasz to zło, jakie mieszka w niedoskonałych sercach ludzkich, a tłumisz, gasisz i mrozisz te iskierki dobrych chęci, jakie błyskają bez ustanku w cnotliwych, — jakie nawet momentami zamigocą w duszy ciemnej. „Oto wielki winowajca“,



powiedziałem sobie. A wtedy Bóg przemówił do mnie groźnie i kazał mi iść przed ciebie, królu, i upomnieć cię.

MARSZAŁEK.

Długoż jeszcze pozwolisz mu znieważać swój majestat, o panie?!

KRÓL.

I cóż masz powiedzieć mi jeszcze, proroku?

DZWONNIK.

Mam ci powiedzieć, o królu, jeszcze rzecz jedną, której oko twoje nie jest zdolne dostrzedz: jest i dla ciebie nadzieja. W sercu stwardniałem swym osądziłeś, iż ona na wieki wieków umarła! Nie, królu. Bóg ci przez moje usta powiada: nie, nie, nie! Na samym dnie przepaści upadku jest nadzieja, jest tak długo, jak starcza życia. Niema potępionych nad tych, którzy sami swoje potępienie potwierdzają, aż do końca smutnych dni swoich! Przepaści ducha są więzieniem, w którym więzień sam jest sobie klucznikiem. Jest dla ciebie nadzieja, królu. Jest dla każdego żyjącego. Bo nad życiem świeci słońce łaski bożej, które chmur nie zna. Temu tylko jest ciemno, kto sam się od słońca odwraca. Królu, uderz się w piersi. Uwierz w miłosierdzie boskie! Uprzytomnij sobie, że w koronie, nabitej klejnotami bez ceny, i z berłem

w rękę, którem gniesz miliony, jesteś tylko okruczem prochu wobec Przedwiecznego.

KRÓL.

Powiedz mi, proroku, czy wiesz, co cię czeka za te słowa?

DZWONNIK.

Wiem. Bóg mi to powiedział.

KRÓL.

Bóg był na ciebie wielce łaskaw (do marszałka). Sprowadzić mi mistrza.

MARSZAŁEK (daje znak jednemu ze sług, który wychodzi).

Zbyt długo, najdostojniejszy panie, byłeś cierpliwy.

KRÓL.

Bóg przysłał mi proroka. Należało-ż go wysłuchać grzecznie.

MARSZAŁEK.

To jest szaleniec.

KRÓL.

Nie, nie, to jest prorok.

DZWONNIK.

Więc uwierzyłeś mi, królu?!

KRÓL.

Uwierzyłem ci. Wiem, że jesteś proro-

kiem. Któżby się śmiał ważyć na to, na coś się ważył. Kimże byłbyś bowiem?! Spekulantem?! Za grube ryzyko, aby mu się powierzyć na chłodno. Ludzie wiedzą dobrze, iż jestem okrutny. Wprawdzie młodość jest zuchwałą, ale jednak nie do tego stopnia. Możesz być tylko szaleńcem, albo prorokiem. Na szaleńca mowa twoja zbyt jest ciąglą, zbyt związaną i niema w słowach twoich nic szalonego, okrom zuchwalstwa. Nie, doprawdy, jesteś prorokiem. Nawet poznaję w twojej składni styl Eliasza! (wybuch dumną radością). Ha, ha! Jehowa musiał się przelądz nie na żarty, jeżeli mi proroków zaczyna nasyłać (radość Dyabła).

KAT (wchodzi; muskularny drab, czerwono ubrany, kłania się królowi).

KRÓL.

Mistrzu, będziesz miał robotę (do Dzwonnika). Już się nie zobaczymy więcej, mój proroku. Czyś wszystko mi powiedział?

DZWONNIK.

Litości! litości!..

KRÓL.

A! litości teraz zebrzesz?!.. śmiałku!

DZWONNIK.

Litości nad tobą samym, o królu!

KRÓL.

Mistrzu. Oddaję w twoje ręce największego z winowajców. Równał mnie ten nędznik z prochem marnym. Pokażesz mu, ile najmarniejszy mój sługa ma potęgi. Liczę na całą twoją sztukę, mistrzu.

KAT. Kłania się głęboko. Żołnierze porywają Dzwonnika.

Zastona.



AKT III.

W KACIEJ WIEŻY.

Duża, sklepiąca sala, pusta. Parę stołków. Na lewo parę drzwi zaryglowanych wielkimi żelazami. Na prawo Sala tortur. W głębi spory przedsionek; w środku drzwi okute, z ruchomym okienkiem.

Scena pusta. Na prawo słycać wybuch śmiechu brutalnych głosów. Po chwili dzwonek nad okutymi drzwiami.

DOZORCA (szybko wybiega z Sali tortur i biegnie ku drzwiom. Podnosi okienko).

Kto tam?

DYABEŁ (za drzwiami).

W imieniu króla-jęgomości.

DOZORCA.

Pieczeńć?

DYABEŁ.

Oto pieczeńć.

DOZORCA ogląda pieczęć przez okienko. Potem otwiera drzwi z rygla i klucza i wpuszcza Dyabła.

DYABEŁ (ubrany w długą, aksamitną szatę sędziowską ze złotym łańcuchem na szyi).

Jestem pełnomocnikiem królewskim. Czy mistrz jest w więzy?

DOZORCA.

Jest, panie.

DYABEŁ.

Przywołaj go do mnie.

DOZORCA.

Zaraz, panie, (idzie do Sali tortur).

DYABEŁ (sam. Rozgląda się, wacha).

Tu pięknie pachnie ludzkim mięsem.

DOZORCA I KAT wchodzi.

DOZORCA.

Oto mistrz, panie, (oddala się w głąb i siada we framudze przedsionka).

DYABEŁ (oddaje katowi pismo z pieczęcią).

Oto rozkaz królewski. Musisz mi być we wszystkim posłuszny.

KAT (ogłada papier i chowa go w zanadrze).

Chętnie będę ci posłuszny, panie.

DYABEŁ.

Gdzie jest więzień, którego król oddał w twoje ręce?

KAT (wskazuje drzwi na lewo).

W tym lochu, panie.

DYABEŁ.

Dałeś mu jeść, pić?

KAT.

Dałem mu dobrą porcyę zupy. Wygląda mi na chmyzę; bałem się, żeby nie osłabł. Toć siły będą mu potrzebne.

DYABEŁ.

Jadł?

KAT.

Jadł.

DYABEŁ.

Cóżeś z nim robił więcej?

KAT.

Nic, panie, dotychczas. Nie zaczynałem. Ja praktykuję bez pośpiechu. Czekałem, aż król potwierdzi swój rozkaz. Nie codzień dostaje się delikwenta z rąk namaszczonego samego monarchy. Z takim nie można być nigdy zanadto ostrożnym. Czym dobrze zrobił, będąc cierpliwym?

DYABEŁ.

Dobrze.

KAT.

A może przychodzisz go, panie właśnie zabrać. Król był w wielkim gniewie, gdy mi

go oddawał. Myślę, że to jego ulubieniec. Takich się najwięcej nienawidzi. Ale jeżeli gniew królewski zagasł?...

DYABEŁ.

O, nie, bądź spokojny. To nie jest królewski ulubieniec, (konfidencyjnie). To wielki zbrodniarz.

KAT.

Hm! Domyślałem się tego,—bo ma mnie taką niewinną!..

DYABEŁ.

Tak wielkiego przestępcy jeszcze nigdy nie miał w swoich rękach.

KAT (ucieszony).

Wielki honor mnie spotyka. Jak to człowiek nigdy nie wie, kiedy na niego spadnie szczęście. Hm! zresztą nieszczęście w taki sam sposób zwykło spadać na człowieka. Tylko, że częściej.

DYABEŁ.

Musisz się okazać godnym tego honoru.

KAT.

Postaram się, panie, postaram. Wyprawię mu przyjęcie pierwszej klasy.

DYABEŁ.

Tego nie dość.

KAT (zaambarasowany).

Nie dość?..

DYABEŁ.

Nie!

KAT.

Panie, zrobię, co tylko będzie w moich siłach.

DYABEŁ.

A duże są te twoje siły?

KAT (z dumą).

W piątym pokoleniu już mistrzujemy, panie. Mój ojciec nieboszyk był słynnym człowiekiem. Nasz król-jegomość szczególnie go lubił, choć i mnie łaskawości nie oszczędza. Ja praktykowałem przy moim ojcu.

DYABEŁ.

Pachołków masz?

KAT.

Mam ich dwóch, panie.

DYABEŁ.

Sprawnych?

KAT.

Tak sobie. Jeden nicpoń, leniuch, pijanica, ale kiedy się weźmie do roboty, to mu się pali w rękę. Drugi nie taki zdara; ale zrobi, co potrzeba. Obu trzeba pilnować; zwyczajnie jak robotników, (p. ch. m.). Więc to taki zły człowiek?

98

DYABEL.

U! Gorszym być nie można.

KAT

Trzeba będzie pogadać z nim na gorąco.

DYABEL.

Jakże go myślisz traktować?

KAT.

Wszak idzie o to, panie, żeby go na dłużej starczyło?

DYABEL.

Właśnie, właśnie. Musi zdychać bardzo powoli, rozumiesz, bardzo powoli; śmierć powinna ciągle zaglądać mu w oczy i uciekać przed nim zwinnie, jak dziewczyna kokietka, która tem dalej od chłopca stroni, im ten namiętniej jej pożąda.

KAT.

Rozumiem, panie. Mam już trzydzieści osiem lat praktyki. Trzeba go traktować ogniem. Ogień konserwuje. Woda prędko zabija. Rozciągnę go więc na deskach, powyciągam mu rączyny i nożyny, jak struny na skrzypcach, ciało napnę, jak skórę u bębna i będę mu wrażał czerwone żelazo w mięso do pół łokcia.

DYABEL.

Długoż będzie tej zabawy?

99

KAT.

Jeżeli się dobrze wie, jakie miejsca w mięsie wybierać, starczy nieraz na dwa tygodnie.

DYABEL (lekceważąco).

Dwa tygodnie?... Jam myślał—rok...

KAT.

Dobry panie, żaden mistrz tego nie potrafi. Natura ludzka ma swoje granice.

DYABEL.

Tak, niestety!..

KAT.

Zrobię z niego piękne sito. Zwłaszcza, panie, gdy się wraca żelazem do tych samych miejsc, w których się było już przed dwoma dniami,—to jest najlepsze. Będzie ze mnie król zadowolony. I ty, panie.

DOZORCA tymczasem otworzył okienko, coś przez nie mówi i słucha, potem z trzaskiem zamyka.

DYABEL (śledził to uważnie).

Co tam takiego?

DOZORCA.

To są ludzie z tego samego miasteczka, co więzień.

DYABEL.

A! iluż ich jest?

Nie niszczyć ks.

DOZORCA.

Troje, panie. Dwie kobiety i młody człowiek. Jedna z nich to matka więźnia; druga pewno będzie jego kochanką.

DYABEŁ.

I czegoż oni chcieli?

DOZORCA.

Wiadoma rzecz: zobaczyć się z więźniem.

DYABEŁ (z gniewem).

Trzeba ich było posłać na złamanie karku.

DOZORCA.

Zrobiłem lepiej, panie, bom ich odesłał do samego dyabła.

DYABEŁ (z humorem).

Ah! tak! Hm! w takim razie (nagle), zawróć ich tu, co prędzej.

DOZORCA.

Tu, panie?

DYABEŁ.

I śpiesz się, gamoniu.

DOZORCA spiesznie otwiera drzwi i woła:

„Hej, hej!”

Po chwili wchodzi: MATKA, DZIEWCZYNA i RANT,
RANT usuwa się w głąb.

MATKA (do Dyabła).

Ja jestem jego matka, panie.

DYABEŁ (wskazuje na Dziewczynę).

A to kto?

MATKA.

To dziewczyna z naszego miasteczka.

DYABEŁ.

Kochanka twego synalka?

DZIEWCZYNA (niecierpliwy ruch protestu, powstrzymany w zawiązku).

MATKA.

Bardzo się lubili. Dziewczyna jest bardzo pracowita i uczciwa. Myślałam, że będzie z tego małżeństwo.

DYABEŁ (wskazuje na Ranta).

A ten nicpoń?

RANT (trzyma się niepewny ciągle na drugim planie, nieśmiały i niespokojny).

MATKA.

To przyjaciel, panie. Pomagali mi iść, bom stara, sterana i już udźwignąć nie mogę wielkiego mojego nieszczęścia.

DYABEŁ.

Czegoż chcesz?

MATKA (błagalnie).

Pragnęłabym go zobaczyć, o panie.

DYABEŁ.

Wiesz, że tu jest?

MATKA.

Wiem...

DYABEŁ.

A wiesz, za co?

MATKA.

Mówili mi ludzie.

DYABEŁ.

Żal mi cię, stara. Dobrze, pozwolę ci się zobaczyć z synem. Ale musisz poczekać trochę.

MATKA.

O! poczekam... poczekam...

DYABEŁ.

Teraz właśnie radzimy, co zrobić z twoim synem? Mówił mi mistrz przed chwilą... (wskazuje na kata).

MATKA (Teraz dopiero zobaczyła kata. Wydaje okropny okrzyk i pada na kolana).

Aaaa! Litości! Panie! Panie!..

DYABEŁ.

Ładnie go wychowałaś, czarownico.

MATKA (na kolanach).

Panie, ja robiłam, com mogła. Biłam go, gdy był małym. Potem mu persadowałam, błagałam... Wychowywał się bez ojca. Mój

rozum nie wystarczył. Prędko się miał za mądrzejszego odemnie. Od paru lat już gościem tylko bywał w domu. Co ja mogłam zrobić? (szybko). Ale oddaj mi go teraz, o panie. Zamknę go na klucz w alkowie; na chwilę nie wypuszczę. Pilnować go będę lepiej od twoich dozorców, lepiej niż oka w głowie.

DYABEŁ (brutalnie).

Nie rychło, Marychno, po śmierci wędrować.

MATKA (obejmując go za nogi).

Panie, okaż miłosierdzie, Bóg ci za to odpłaci.

DYABEŁ (wściekły, kopie ją).

Nie wyj! (p. ch. m.). Na widzenie się z synem pozwolę, mówiłem. Za chwilę. (udaje) Gdzieby tu uczynić dla nich poczekalnię? (do kata głośno). Co tam robią twoi pacholkiwie?

KAT.

Smarują sznury łojem, żeby się nie zacinały. Kazałem też na wszelki przypadek ogień rozpałić i żelaza wrazić we węgle.

MATKA (jęczy na kolanach).

Panie miłościwy, panie...

DYABEŁ.

A no, to poczekaj tam, stara, w tej sali oto. Innego miejsca niema. Czy znajdzie się tam dla niej ława?

KAT.

Jest tam ława, panie.

DYABEŁ (do dziewczyny).

I ty pragniesz go zobaczyć?

DZIEWCZYNA (składa ręce).

Proszę cię, panie.

DYABEŁ.

Chcesz, żeby cię jeszcze raz poskubał?!
A no dobrze, dobrze (do Ranta). A ty, młodzieńcze?..

RANT (szybko).

Nie, nie, panie. Ja nie do niego przyszedłem (wahająco). Ja towarzyszę tylko niewiastom... Ja nie chcę się z nim widzieć... Matko, będę was czekał u furty (wychodzi).

DZIEWCZYNA wprowadza MATKĘ do sali tortur.

KAT.

Matki źle dziś wychowują dzieci, a potem na nie płaczą.

DYABEŁ.

A ty mistrzu, masz rodzinę?

KAT

Mam żonę i dzieci. Dwóch chłopców.

DYABEŁ.

Zaprawiasz-że ich już do rzemiosła?

KAT.

Bębny jeszcze.

DYABEŁ.

Ale będziesz miał z nich pociechę?

KAT.

A no, nie będą bez kawałka chleba.

DYABEŁ.

Czy widać już u nich powołanie?

KAT.

Nie powiem tego, panie. Starszy zwłaszcza jest taki jakiś chmyzowaty. Taki miękawki. No, wyrobi się. Z młodszego będzie lepszy rzemieślnik, to widać. Już teraz lubi się bawić mojemu cęgam i nieraz mnie zdrowo uszczypie, gdy się nie spostrzegę.

DYABEŁ.

Niedawno musiałeś się ożenić?

KAT.

A no, byłem już w leciech, gdym brał ślub.

DYABEŁ.

A przedtem, co? dziewczki psułeś? hultaju. Musiałeś być tęgim urwisem z kobietami?

KAT (śmieje się).

Różnie bywało.

DYABEŁ.

Przyznaj się, musiałeś wiele dziewczek rozdziewiczyć?

KAT.

Człowiek się tam temu tak zbliżka nie przyglądał. Co było pod ręką, to nieprzyjaciel. Ale teraz, żyje się po bożemu.

DABEŁ (drgnął).

Czyż?

KAT.

A no, tak trzeba. Zresztą, mam dla kobiety zobowiązania. Młoda była, gdy wychodziła za mnie; z jej ojcem byliśmy koledzy i przyjaciele. No, i ofiarę uczyniła, biorąc mnie za męża.

DYABEŁ.

Ofiarę?

KAT.

Ofiarę, panie. Trafiło się jej wyjść z naszego stanu. Urodziwa bowiem jest niewiasta. Jeszcze i dziś. Biała, gładka, zdrowa, cyce takie (gest). Chciał się z nią żenić czeladnik od rzeźnika. Zakochał się na umór. I byłby się ożenił, bo jako sierocie, nikt się mu nie mógł sprzeciwić. Ale ona wolała mnie. Co prawda, czeladnik był kulawy i nie miał grosza. Ale zawsze co rzeźnik, to nie kat. Ona wolała mnie. Więc muszę ją szanować.

DYABEŁ.

Proszę?! Więc chodzisz koło niej na palcach?

KAT.

Co to, to nie, ale...

DYABEŁ.

I nigdyś jej nie zdzielił tak — pięścią w jadaczkę?

KAT.

Raz, czy dwa...

DYABEŁ.

Tylko?

KAT.

Ba! Szelma—zaraz oddaje. Więc muszę ją szanować...

DYABEŁ (z humorem).

Oczywiście.

KAT.

Zresztą, jestto kobieta uczona.

DYABEŁ.

Proszę...

KAT.

Pomocnik organisty także się miał do niej. I pokazywał jej litery na elementarzu, na którym uczyły się dzieci sukiennika. Nie jedną umie rozróżnić. Trochę mnie przez to poniewiera, prawdę powiedziawszy. Powiada nieraz: „Ty dużo znasz? dwa ptaki: jedną

świnie, drugą kozę". Albo powiada: „Ty dużo umiesz? książkę do góry nogami trzymać“. Aleć wyszła za mnie, choć się jej inni przylizywali. I... ślubna. Więc muszę ją szanować, (spozstrzega się). Ale ja rozpuściłem gębę, jak bicz dziadowski... Racz mi wybaczyć, panie.

DYABEL.

Słuchałem cię z uwagą.

KAT.

Nie jesteś dumny, panie. Widać to, żeś dobry człowiek.

DYABEL.

No, zawołaj mi teraz tu tej starej.

KAT.

Idę, panie, (wychodzi).

Po chwili wchodzi MATKA, drżąca i przerażona.

DYABEL.

Syn twój zaraz się ukaże. Teraz wiesz, co go czeka?

MATKA.

Panie... Panie...

DYABEL.

Pogadaj z nim. Możesz wpłynąć na jego los.

MATKA (z krzykiem).

Doprawdy?! Ja mogę go ocalić?!

DYABEL.

O! zaraz ocalić... Możesz złagodzić jego męki, (p. ch. m.). Zresztą, kto wie?! Możesz go... nawet... ocalić!

MATKA.

Oh! panie! co ja mam robić?! Co ja mam robić?! Powiedz mi prędko.

DYABEL.

Syn twój wszedł na złą drogę. Na bardzo złą drogę.

MATKA.

Niestety, spostrzegłam to oddawna.

DYABEL (ostro).

Więc niech zawróci!

MATKA.

Co on winien robić?

DYABEL.

Nie wiele... Nie wiele... Zgoła mało... Prawie nic.

MATKA.

I to wystarczy?

DYABEL.

Tak, to wystarczy.

MATKA.

Jakiś ty dobry, panie.

DYABEŁ.

Nie chcę jego zguby. Taki młody, nie-
doświadczony...

MATKA.

Więc co, co on ma uczynić?

DYABEŁ.

Powiedziałem — jakby nic. Niech odwoła
swoje słowa. Niech uzna, że wpadł w jakieś
sidła. Że był zwabiony i omamiony jakąś żą-
dzą świętości. Niech się upokorzy. Niech ża-
łuje, (zapala się). Niech się wyrzeczy tego gło-
su, który nań wołał, który go namawiał, roz-
kazywał, popychał... Niech temu głosowi za-
przeczy—niech mu złorzeczy—niech mu bluźni,
(nagła zmiana tonu). Prawie—nic, jednym słowem.

MATKA.

Dobrze, panie. Powiem mu, będę go bła-
gała, będę przed nim płakała, do nóg mu
padnę.

DYABEŁ.

Niech cię posłucha.

MATKA.

Musi mnie posłuchać. Nie miałaby ani
odrobiny litości nad swoją starą matką, która
go pod sercem wynosiła, w bólach na świat
wydała, własną piersią wykarmiła... Nie po-
słuchałby mnie? Toćby musiał mieć na to ser-

ce wilka, nie człowieka... Musi mnie posłu-
chać.

DYABEŁ (zadowolony).

Dobrze... bardzo dobrze...

MATKA (nagle łamie się, błagalnie).

A jeżeli mnie nie posłucha, panie, paniel...

DYABEŁ.

Dość jęków (do Dozorcy). Przeprowadź
więźnia.

DOZORCA (otwiera drzwi od lochu).

Prosimy.

DZWONNIK (wychodzi z lochu).

MATKA wydaje okrzyk radości na widok syna.

DZWONNIK (ździwiony).

Ty? matko? tu?

MATKA.

Mój synu!

DZWONNIK (łagodnie, ale zimno).

Po coś tu przysła?

MATKA.

Dziecko? Co to za słowa? Patrz, ten pan
łaskaw był, pozwolił mi się zobaczyć z tobą.

DZWONNIK (teraz dopiero spostrzega Dyabła, który się
był usunął nieco. Patrzy nań chwilę. Potem poufale).

A! Dzień dobry!

DYABEŁ (ździwiony).

Dzień dobry?... Ah! dzień dobry (n. s).
Panicz dobrze wychowany, (głośno). Macie
dziesięć minut czasu. Zostawiam was samych.
(Idzie ku drzwiom. Tu gaśnie. Zostaje przy murze, nie-
widzialny dla osób na scenie).

DZWONNIK.

Matko droga, nie należało aż tu za mną
ciągnąć! Ja już nie należę ani do rodziny, ani
do ludzi. Idę za mojem przeznaczeniem, które
mi wyznacza drogę — z tego świata.

MATKA.

Jakto, synu, nie należysz do rodziny?!
Czyż nie jestem twoją matką?

DZWONNIK.

Zapomnij o tem. Doprawdy, matko, to
jedno zostaje ci do zrobienia.

MATKA.

Ty myślisz, że o tem można zapomnieć?!
Ah! dziecko, kto mi cię odmienił! kto mi za-
brał z ciebie wszystko, co w tobie było mo-
jem... Nie, nie, nie... Daruj mi. Bolesć mi
zmysły miesza! Ty nie wiesz, com ja widziała,
(pokazuje na salę tortur). Tam... Nie... Nie to chcę
powiedzieć.. Zdziecinniała moja głowa... Nie
mogę tego powiedzieć, co chcę, a mówię to,
czego nie chcę. A teraz właśnie winnam mieć
całą duszę macierzyńską w uszach. Bo wi-

dzisz, synu, ty nie wiesz. Jeszcze możesz sie-
bie ocalić i nie złamać mojej starości,— byleś
mnie posłuchał. Byleś posłuchał swojej ma-
tki — swojej rodzonej matki — raz jeden tyl-
ko — raz ostatni. Czy posłuchasz mnie, po-
wiedz?

DZWONNIK (prosząco).

Matko moja...

MATKA.

Synu mój. Posłuchaj mnie dziś. Za ży-
cie, które ci dałam! za bóle porodu! za wszyst-
kie troski wychowania! za całą moją miłość,
dziecko, dla ciebie, zapłacisz mi z lichwą, je-
żeli mnie dzisz posłuchasz.

DZWONNIK.

Matko, wiem wszystko, co chcesz mi po-
wiedzieć, ale ty nie wiesz, o co mnie prosisz.

MATKA.

Wiem, wiem! Ten sędzia, jest, doprawdy,
nie złym człowiekiem. Jemu ciebie żal. Powie-
dział mi to wyraźnie. Moje łzy go rozmięk-
czyły. Pozwolił mi ciebie widzieć i przyrzekł
mi, że będziesz ocalony, byleś sam tego ze-
chciał.

DZWONNIK.

Który sędzia? Czy ten, co tu był przed
chwilą?

MATKA.

Ten, właśnie. On wszystkim rządzi w tych strasznych murach. On ciebie ma w ręku.

DZWONNIK.

Matko, jest sędzia, który wszystkich ma w ręku i który rządzi wszędzie. Jemu jestem posłuszny.

MATKA (z przestraczem wyciąga mimowoli ręce w sali tortur).

Ty nie wiesz, dziecko, ty nie wiesz?.. Tam....

DZWONNIK (spokojnie).

Wiem. Wiem.

MATKA.

Wiesz?! Tam cię czekają straszne męki.

DZWONNIK.

Czem są straszne męki, jeżeli prowadzą one do nieba?

MATKA.

Ah! i śmierć!

DZWONNIK.

Śmierć?! Co to jest śmierć, jeżeli dusza ma w sobie nieśmiertelność.

MATKA (łamię ręce).

Kamieniem jesteś, nie człowiekiem. Oh! ja nieszczęsna, nad którą własne dziecko nie

ma litości. Toć zwierzęta by się ulitowały nad moją dolą, a on, syn, syn się nie ulituje. Patrzy, widzi, jak się we mnie szarpia i krwawią wszystkie wnętrzności, a nie ulituje się, nie. I za co mnie taka nieludzka kara, taka sroga męka spotyka? Za to, że cię kochałem, że cię kocham! Czyż nie ma Boga sprawiedliwego nad światem?!

DZWONNIK (w strasznej walce ze sobą).

O, matko moja!...

MATKA (odskakuje z furją).

On mnie śmie nazywać matką swoją?! On śmie wymówić ten wyraz swojemi ustami! Ja jestem jego matką?! Więc cóż masz mi do powiedzenia... Mów, mów prędzej, wyrodku...

DZWONNIK (miętko i błagalnie).

Matko moja, czyż nie widzisz, że przeszły momenty, gdzie potrzebne mi są wszystkie siły... Gdzie moce nadludzkie nawet nie były mi zbytne??! I ty przychodzisz odbierać mi to, czego, zaiste, mogę nie mieć dośyć?! Matko moja. Przeznaczenia mojego nie odwrócisz, jak nie cofniesz w górę rzeki, rozlanej po dolinie. Jestem strzałą, którą Bóg wypuścił ze swojego łuku; musi ona dobieść do mety.

MATKA.

Dobrze. Wiem teraz, że nie mam już dziecka. Wrócę do domu, jak się wraca z pogrzebu. A gdy mnie zapytają, czy mój syn umarł? odpowiem: „gorzej, bo wyrzekł się matki“.

DZWONNIK.

Mateczko moja. Niech rozpacz twoja nie truże mi serca tak palącemi słowami. Wierz mi, masz tyle powodów do radości! Wszak to twojego syna Bóg wybrał na swoje narzędzie. Któż mógł mnie w tak straszne gniazdo niebezpieczeństw wprowadzić, jeżeli to nie Jego ręka; a wprowadziwszy mnie w nie — jakżeby nademną nie czuwała? jakżeby mnie tu opuściła? Uspokój się! ucisz swoje serce! skłoń je do wesela! Boleść minie prędko, jak burza, a czemu nie mamy jej przyjąć ze spokojem, jeżeli za nią stoi wieczność pogody i radości?!

MATKA (łamię się i wybucham płaczem).

Dziecko moje, nie zobaczę cię już więcej...

DZWONNIK.

Gdy przyjdzie chwila naszego zobaczenia się, nie rozstaniemy się już nigdy. Obejmuje ją, utula rozszlochana i wyprowadza do drzwi).

MATKA (idzie posłuszna, płacząc cicho).

Doloż ty moja... dolo!...

DOZORCA (otwiera drzwi przed nią. Rant wchodzi i uprowadza ją).

DZIEWCZYNA (od pewnego czasu stała dyskretnie na progu sali tortur. Teraz występuje na scenę).

DZWONNIK.

I ty tu? (marszczy brew).

DZIEWCZYNA (Pełna jest wielkiego męstwa. Pogodnie. Słodko).

Tak, mój miły.

DZWONNIK.

Zmówiliście się na mnie wszyscy. Chcecie próbować, azali jestem ze stali. Mów krótko, czego chcesz.

DZIEWCZYNA.

Chciałam raz jeszcze spojrzeć w kryształ twoich oczu. Chciałam się ogrzać, może na całą resztę życia, ogniem twojego spojrzenia. Chciałam raz jeszcze usłyszeć muzykę twojego głosu, aby siebie lepiej poznać. I chciałam ci powiedzieć, mój miły: „do widzenia“.

DZWONNIK. (Wzruszony. Wyciąga do niej obie ręce Mocny uścisk dłoni).

Dziękuję ci.

DZIEWCZYNA.

Niedobry. To ja, ja ci dziękuję, patrz, na kolanach, (klęka. On ją podnosi i trzyma w swych ramionach, nie przyciskając do siebie Ser-

ce moje było, jak ulica niezamiatana, a tyś przelatywał po niej, jak wichur, który prochy zwiewa. Słodko jest mieć duszę czystą i mocną. Tyś był rzemieślnikiem mojej duszy.

DZWONNIK.

Słodko mi jest ciebie słuchać.

DZIEWCZYNA.

Daj, daj mi jeszcze twoich oczu. Chcę tam odczytać powtórzenie tego wszystkiego, czegoś mnie uczył, a co niewierna pamięć bez dzisiejszej lekcji możeby nie zdołała zatrzymać. Czy pamiętasz, jakeśmy chodzili ścieżkami górskimi po przełęczach? Dawno to było. Tyś leciał przedemną i oglądałeś się, czy za tobą nadążam. Pięliśmy się nieraz po krawędziach skalnych, jak kozice, śmiejąc się nad przepaściami. Nieraz, w nocy, gdym się przebudziła i pomyślała o tych przepaściach, co rozwarte szeroko, niby paszcze zwierzy, wisiały u naszych nóg, strach mnie porywał, i trzęsłam się na pościeli. A tam, nad przepaściami, niczego się nie bałam nigdy. Tyś był przedemną, i tego było mi dosyć. Nigdyby mi do głowy przyjść nie mogło: bać się przy tobie.

DZWONNIK (z uśmiechem).

Jednak umiałem raz tak dobrze cię wprowadzić, żeśmy dopiero na drugi dzień o południu odnaleźli drogę.

DZIEWCZYNA (z wielką radością).

To ty pamiętasz?! O, mój miły! To było w połowie wiosny. Świerki puściły już nowe pędy, takie jeszcze malutkie, jakby zielone paluszki leśnych dzieci. Pachniało tak, że aż głowa się od tego kręciła. A ptaki w gałęziach tak się cieszyły, tak się cieszyły... Kiedyśmy się wydostali z lasów i wstąpili we wrzosa, tyś patrzył na doliny ostrym wzrokiem, jak ten orzeł i zacząłeś mówić... Pierwszy raz tak mówiłeś. Długo i mocno. O bożej potędze. Ale ja nic z tego nie pojmowałam. Miałam taką waziutką wówczas, tak szczelnie zamkniętą główkę. Ale za to szczęścia w piersiach czułam tyle, co jest tego powietrza w górach. Później, oh, później rozumiałam cię lepiej (z trochę melancholii), tak, później, gdyś już nie chodził ze mną po górach... Przyszły czasy, gdyś uciekał z miasteczka i długo nieraz cię widać nie było. Pokazywałeś mi się rzadko i rozmawiałeś ze mną krótko. Ale wtedy każde twoje słowo po wiele razy wracało mi do głowy, i oglądałam je oczami duszy, jak ubogi ogląda wielokrotnie te parę monet, co jego dobro stanowią. I wtedy to wążka moja głowa i zamknięta poczęła się otwierać i rozszerzać... Nauczyłam się dziwnej rzeczy: myśleć. A kiedy nie byłam w stanie zrozumieć twojego słowa jakiego, zapamiętałam go i czekałam aż wró-

cisz. Tyś wracał, wyjaśniał mi, co potrzeba i sypałeś do głowy nowych ziarenek myśli, które zaczęły kielkować ledwoś znowu zniknął... Aż raz czekałam na ciebie tęskliwie od jesieni aż do progu lata... Biedziło mnie jedno niezrozumiałe słowo, biedziło długo,—aż sama jego znaczenie odgadłam. A kiedyś ty wrócił, w samo południe promiennego czerwca, trzymając w ręku parę szkarłatnych maków, żal mi się zrobiło, że już rozumiem, co mi potrzeba; że sama odnalazłam to, co mi tak zawsze słodko było od ciebie dostawać. Tyś przynosił z tobą jednak nowe piękne słowa... Czuję, że, jak dawniej, pniesz się ciągle na wyżyny po stromych i niebezpiecznych ścieżkach, lekceważąc przepaści,—ale ja już nie byłam w stanie podążać za tobą.

DZWONNIK.

I smuciło cię to?

DZIEWCZYNA.

Tak... często... Ale ten smutek prędko rozplywał się w radości, gdy mi mogła choć kiedy niekiedy oglądać i patrzeć jak chodzisz teraz po szczytach myśli, rzucając ostre spojrzenia na padół naszego żywota, jak ten orzeł (sposzrzega się). Ale jakaż obrzydliwa baba ze mnie?! Przyszłam popieścić uszy moje harmonią twojego głosu, a oto usta mi się

nie zamykają (pokornie). Powiedz mi cokolwiek o sobie?

DZWONNIK (słodko).

Spełniłem swoje, moja miła. Od wczoraj wielki spokój wstąpił we mnie, jakiego od lat nie miałem. Dusza moja jakby się do snu ukołysała po długim dniu, pełnym znoju straszliwego. Zagasił we mnie ogień, który był pożarem, bo nie tylko świecił mi, ale i palił, i pożerał. Długom bowiem miejsca sobie odnaleźć nie mogłem. Śród ludzi było mi nie do wytrzymania, a ze sobą samym jeszcze gorzej. Burze mną targały, a huragany porwały mnie i wynosiły po nad świat. Były momenty, gdy wydawało mi się, że to rozum odemnie odlatuje i że mam być wydany na pastwę żywiołów i pośmiewisko gawiedzi. Aż raz wichur uniósł mnie pod same niebo i w ogniu, co przepalał moje wnętrze, usłyszałem rozkaz boży: „Idź! przemów do króla!”

DZIEWCZYNA.

O mój najmiłszy!

DZWONNIK.

Ale wprędce srogie wątpienia mnie opadły, jak rój os. Azaliż to może być, aby Bóg do mnie mówił? Czemże jestem na to? I nie był że to szal, który igrał urągłiwie z resztą zmysłów moich? Oh, droga moja! Co wtedy

się ze mną, biednym, działa, tego ludzkim językiem opowiedzieć się nieda. Aż wreszcie raz, gdym w półni i półzywy spoczywał pod drzewem wiśniowem, białe kwiecie poczęło mi dzwonić, niby tysiącem dzwoneczków o przeczystych głosach. Podniosłem oczy do góry. Nademną stał anioł boży, bardzo zagniewany, i uderzył mnie mocno płazem gwiazdzistego miecza po ramieniu. I zawołał do mnie: „czemu się ociągasz, leniwcze!“ Zerwałem się. I począłem biedz prosto do miasta. Czulem ciągle ból w ramieniu. Już nie mogłem wątpić.
(Dłuższe milczenie).

DZIEWCZYNA.

I spełniłeś?

DZWONNIK.

Spełniłem. Wiem o tem. Ból ustał w ramieniu, ogień we wnętrzu zagaś, burze wokoło mnie ucichły. Jestem pełen pogody.

DYABEŁ (występuje, n. s.).

To idzie ciągle w kółko (głośno). Czas upłynął. Musisz odejść dziewczko.

DZIEWCZYNA.

Więcej nie było mi potrzeba. Do widzenia.

DZWONNIK.

Do widzenia.

DYABEŁ.

Nie prędkiego, w każdym razie.

DZIEWCZYNA.

O tem wie sam Bóg (odchodzi mężnym krokiem).

DYABEŁ (patrzy za nią, n. s.).

Głupie dziewczysko. Nawet nie umie być sentymentalną. I nie skłoniła mi choćby głową za łaskę widzenia... Przytem krok, jakim stał odchodziła, miał jakiś dziwny wyraz. Moznaby pomyśleć, że obiecuje sobie tu prędko wrócić?!

(chwila milczenia).

Teraz my pomówimy ze sobą.

DZWONNIK.

Chcesz ze mną pomówić. Dlaczego nie? Jakże idą sprawy?

DYABEŁ.

Sprawy? O jakich sprawach wspominasz?

DZWONNIK.

O twoich sprawach.

DYABEŁ.

Moje sprawy? O to się troszczysz?! Nadto jesteś uprzejmy. Czyż wiesz, kim jestem?

DZWONNIK.

Oczywiście. Poznałem cię odrazu.

DYABEŁ.

Co? poznałeś mnie odrazu (z niepokojem). Czyś mnie widział gdzie przedtem?

DZWONNIK.

Nie, nie widziałem cię nigdy, mimo to
poznałem cię od rzutu oka.

DYABEŁ (j. w.).

Po czemże, jeżeli łaska?

DZWONNIK.

Ah! po czem?! Cała twoja postać krzy-
czy imię twoje.

DYABEŁ.

Jestem pełnomocnikiem królewskim.

DZWONNIK.

Bah! czem ty nie jesteś?

DYABEŁ.

Mówisz zagadkami, których nie umiem
rozplątać.

DZWONNIK.

Od kiedyż to zrobiłeś się tak tępy?

DYABEŁ.

Za kogóż mnie masz w końcu?

DZWONNIK.

Jesteś ten, którego dwa moje słowa mo-
gą obnażyć, a jeden gest mój—wygnać stąd.

Długie milczenie.

DYABEŁ (skupiony w sobie).

I czemu nie robisz tego gestu?

DZWONNIK.

Mam litość nad tobą.

DYABEŁ (wybucha grubijańskim śmiechem).

Ha, ha, ha! Załgałeś się, proroku. Chcesz
być większym od Boga samego. On nie ma
nademną litości.

DZWONNIK.

On jest sprawiedliwym. Musi wszystko
osądzić. Ułomny człowiek nie ma tego obo-
wiązku.

DYABEŁ.

Odgaduję cię. Chcesz mnie przekupić.
Myślisz, że i ja wzamian ofiaruję ci wspania-
łomyślnie litość?!

DZWONNIK.

Nigdybym nie śmiał cię obrazić posądze-
niem takim.

DYABEŁ (ukazują mu się skrzydła nietoperze i rogi
wychodzą z pod włosów).

Dobrze... Będę wobec ciebie sobą. Czy
chcesz pomówić ze mną szczerze... zupełnie
szczerze?

DZWONNIK.

Jeżeli ci to sprawi ulgę?

DYABEŁ.

To mi sprawi ulgę. Mówmy.

Siadają naprzeciw siebie na dwóch stołkach.

Spodziewasz się wielkiej nagrody za twoją służbę, prawda?

DZWONNIK.

Już ją mam.

DYABEŁ (krzywi się).

Oh! zadowolenie własne?! To potrawa nieco stęchła. Podają mi ją często na obiad. Ale — hm — niebo?! co?!

DZWONNIK.

Na to muszę zasłużyć jeszcze.

DYABEŁ.

I spodziewasz się zasłużyć?

DZWONNIK.

Przy twojej łaskawej pomocy...

DYABEŁ.

Ah! żebyś ty wiedział, jak tam w niebie jest nudno (ziewa przeraźliwie).

DZWONNIK.

W piekle — zabawniej?...

DYABEŁ (p. ch. m.).

Nno... nnie... Widzisz, jestem wobec ciebie szczery. Tu i tam jedna żarłoczna a nje-nasycona nuda. Tylko widzisz, u nas to choć jej złorzeczyć można, ile tylko przekleństw w gębie się pomieści. A tam to trzeba nudę

ślawić w kupletach bez końca. Wiesz przecież, iż nie ciskam tej opinii na wiatr. Mówię — z doświadczenia.

DZWONNIK.

Wydajesz mi się odrobinę uprzedzony...

DYABEŁ (zrywa się w podskoku).

Więc słuchajże, biedaku!... Podobasz mi się. Masz dowcip. Ja to cenię. I choć ty nie jesteś względem mnie sprawiedliwym — (wierząc mi, żaden z nas, w piekle, nie jest dyabłem doskonałym, mam i ja swoje słabe strony)—lituję się nad tobą i odslaniam ci to, co ty tak mętnie widzisz: twoją własną duszę. Ah! ty! ty! Jakżeś ty, przy twojej wrodzonej inteligencji, nie spostrzegł, że w całej tej awanturze—tyś był moim najniższym i najpracowitszym sługą?! Nasadziłem na ciebie milusią córuchnę moją: Pychę, która spocila się nieraz jeden, zanim potrafiła w końcu wtłoczyć w ciebie ideę, żeś jest wielkim człowiekiem, — wyjątkowym wybrańcem — posłańcem samego Boga; no, i że możesz się odważyć na rzeczy, których miliony w malignie nawet nie śmiały pomyśleć. Ha, ha! Zawołać na króla samego — po imieniu! Co za szczytna ambicja. Zuch jesteś — i muszę ci przyznać, że dobrze mi usłużyłeś!

DZWONNIK.

Czy istotnie tak dobrze ci usłużyłem?

DYABEL.

Bezwątpienia, moj chłopcze, wybornie!

DZWONNIK.

Więc ty po to jedynie wszedłeś w skórę pełnomocnika królewskiego, aby mnie stąd wypuścić na wolę?

DYABEL.

No?! Jakto?!

DZWONNIK.

Będziesz-że najpracowitszego ze sług swoich dręczył więzieniem? To tak się opłaca służyć ci wiernie?

DYABEL.

Ależ, naturalnie, naturalnie, że jestem tu po to jedynie, aby wyzwolić cię z rąk kata, który tam czeka na ciebie, bardzo niecierpliwie, ze swoimi pacholkami. Wypada ci tylko przedtem uczynić jeszcze małą formalność... Oh, drobiazg... Prosta forma, nic więcej. Musisz mi oddać pokłon.

DZWONNIK.

Więc stałeś się obecnie formalistą?

DYABEL.

I my mamy regulamin.

DZWONNIK.

Uczynki ci nie wystarczają. Chcesz—kultu.

DYABEL.

Tak... Nie chcę być niższym od Niego.

DZWONNIK.

Masz dobrą okazję stać się wyższym,—o cały marny balast formalności.

DYABEL (wściekły).

Kusisz mnie, proroku.

DZWONNIK.

Łatwa gra z tobą, jak widzisz!

DYABEL (zmienia szybko ton).

No, gracz z ciebie nielada. Z takim majstrem nie przyszło mi jeszcze skrzyżować języka. Jeżeli myślisz, że mnie to gniewa, to mnie nie znasz wcale. Przeciwnie, jestem zachwycony. To nudna rzecz mieć ciągle do czynienia z osłami ludzkimi, które ciągną do grzechu, jak pszczoły do słodyczy. Jakiś czas to bawi, niezawodnie; ale potem, brr... aż się odbija. Więc będę z tobą szczerym.

DZWONNIK.

Jeszcze raz?...

DYABEL.

Poraz pierwszy... Zobaczysz sam. Zgódź się ze mną naprzód na jedno przedewszystkiem: że przecież ja wiem daleko więcej od ciebie.

DZWONNIK.

Ja myślę.

DYABEL.

Cały wielki prorok, za jakiego się masz, któż ty jesteś? ubogi chłopiec z małego miasteczka! Polizałeś trochę książek, nasłuchałeś się nieco kazań, oto i wszystko. Wszak nie jesteś uczonym?

DZWONNIK.

O nie!

DYABEL.

Ani filozofem?

DZWONNIK.

Bynajmniej.

DYABEL.

Tem mniej teologiem?

DZWONNIK.

Ani odrobiny.

DYABEL.

No, widzisz. A ja tem wszystkim jestem. Jestem uczonym, przed którym żaden z elementów nie dochował najdrobniejszej tajemnicy. Głównie zaś jestem filozofem, który widział przyczyny rzeczy i patrzy jak te do celów swoich lecą. A przede wszystkim jestem teologiem. Tak. Teologiem. Ja znam Boga. Znam Go osobiście. Znam Go na wylot. Temi oczyma patrzyłem w twarz Jego i czyta-

łem na niej myśli, które miał za tajemne. Tak. Poeci nadają mi dźwięczne imiona i dziwaczne atrybuty, które nieraz jeden pobudzały mnie do szalonego śmiechu. A nikt nie mógł natrafić na moje imię właściwe. Tobie je powiem, żeby ci pokazać, w jak niezwyklej mam cię estymie, (z dumą i powagą bardzo uroczyście): „Ja jestem ten, który wie“. Pod tem imieniem myśl o mnie (p. ch. m. mówi z przekonaniem, powagą, rosnącą melancholią). Powiem ci więcej, chłopcze. Powiem ci rzecz wielką, największą, prawdę główną, — praprawdę, — arcyprawdę: „Stworzenie nie miało żadnego sensu!“ (p. d. m.). Żadnego! (p. ch. m.). To stoi wypisane dla bystrego oka na każdej rzeczy, na spodzie ziemi i na wierzchołku nieba. Gdybyś mnie mógł przejrzeć do gruntu, to samo byś tam odczytał. Jak to wszystko we wszechświecie kuleje, i trzeszczy, i skrzypi, i potyka się na każdym kroku?! Czyż tak ma wyglądać arcydzieło?! Cała potęga, cała mądrość, że ta pacząca się ciągle i pękająca i łamiąca się tandeta — kupy się jakoś trzyma, że się w chaos nie rozlatuje (p. ch. m.). Wierz mi, jeżeli chcesz, ale powiedz mi, czy wielka akcja może mieć coś złego na celu? Nie! A przecież jednym z celów stworzenia stało się — piekło?! Przecież ja, — ja, — ja, to także Jego dzieło! (p. ch. m.). Czyś myślał nad tem kiedy?

DZWONNIK (lekceważąco).

Nie wiele.

DYABEŁ (z tryumfem).

A widzisz! Nad czymże ty rozmyślałeś dotąd?

DZWONNIK.

Nad zepsuciem, które nasz naród oszpeciło.

DYABEŁ.

A czy wiesz, czyje to dzieło?

DZWONNIK.

Wiem. Twoje.

DYABEŁ.

Moje. Król wasz oddał mi w ręce swoją duszę i swoją władzę. Odplaciłem też mu za zaufanie, jakie we mnie położył. Opiekowałem się wami szczerze. We wszystko się wtrąciłem. Na wszystkim odcisnięty został ślad mojego pazura. Gdybyś był mężem stanu, zobaczyłbyś, ilem uczynił dla prawodawstwa, administracji, a zwłaszcza sądownictwa. Gdybyś był krytykiem, odczułbyś zapach mojego oddechu w poezyi, literaturze, sztuce. Gdybyś był filozofem, pokazałbym ci, ile głów subtelnych nakarmiłem pasztetem moich idei. Gdybyś przeszedł teologię, powiedziałbym ci, co wasi biskupowie mniemają o sakramentach. Nad tronem króla waszego zawiesiłem mój

ogon, a tłumy mu pokłon oddają z wewnętrznym nabożeństwem. Patrz, ile wejść mi otwarto do pałacu społeczeństw ludzkich?! Ile w tem wszystkim jest luk, przerw, szczelin, trząśnień, niedokończeń, zaniedbania i fuszerki, — którą ja mogę poprawiać wedle mojej fantazy?! Ja! Ja! Ja! Pokurcz?! Ja! wyrzutek?! Ja, twórczo, co sam siebie wyrzucił podszewką do wierzchu?! Ha! ha! Wierź mi: akt stworzenia nie miał żadnego sensu.

Długa chwila milczenia.

Prawda, moje rządy w tym kraju wywołały jedno, o czem nie myślałem: Ciebie! Ale, mizeraku, czy ty wiesz, jak się skończy twoja misja? Przemawiałeś do swoich towarzyszy z gór, rozdierałeś szaty swoje na rynku stolicy?! Wzruszyłeś nie jednego może? Ale kto za tobą pójdzie w ogień niebezpieczeństwa? Nikt. Kto cię zrozumiał? Jeden człowiek tylko: król. I patrz, on mi oddał ciebie. Co po tobie zostanie, gdy kat wyzuje ci duszę z ciała w powolnych mękach? Matka twoja wprędce umrze, dziewczka twa wyjdzie za innego, niedługo nie będzie komu cię wspominać nawet. I tylko wiatr cmentarny wyc będzie szyderstwa nad twojami kośćmi, rzuconymi na gnicie tak młodo. Eh! żal mi cię, choć jestem dyabeł. Pożyłbyś sobie

jeszcze trochę... (p. ch. m.). Milczysz? Czyś mnie słuchał?... Czyś mnie pojął?..

DZWONNIK.

Słuchałem cię uważnie. I pojąłem cię, choć jestem człowiek prosty. Nie chciałeś mnie oszukać tym razem i mówiłeś istotnie szczerze, a ja zająłem dlatego do twojej biednej duszy. Nie jesteś ty tym, który wie. Czy Bóg ci pozwala patrzeć na wszystko? tego nie wiem; ale że ty nie pojmujesz, że ty nie chcesz pojąć tego, na co patrzysz, to dla mnie pewne. Azaliż Bóg nie potrafiłby zbudować ula, który umie budować pszczolę, Jego dzieło?! Azaliż Bóg nie umiałby uwić gniazda, które wije pliszka i skowronek, Jego dzieła? Azaliż Bóg nie zdołałby wznieść czterech węglów domu i kominem ich opatrzyć, jak to zdoła człowiek, Jego dzieło?! Więc i cóż z tego, że świat mógłby być lepszym? Wszakże go lepszym robią owad, ptak, człowiek? Nie jest że ci to widocznem, iż Bóg chciał takiego świata, jaki zrobił? Że On dał ludziom zadanie? że On im wyznaczył robotę?

DYABEŁ.

W której ja im jestem pomocnym...

DZWONNIK.

Prawdę znowu powiedziałeś. Pomocnym jesteś ludziom w istocie. Bez ciebie nie by-

łoby zasługi. Bez ciebie niebo by nie miało swojej ceny. Bóg chce, aby człowiek wdarł się w niebiosy, jak wdziera się wojownik do oblężonego grodu, z orężem w ręku, za cenę swej odwagi i swej waleczności. Tyś potrzebny wielce, — aby wokoło grodu tego szańce sypać...

DYABEŁ (wściekły).

Dość mam już z tobą rozmowy.

DZWONNIK.

Nie ja ciebie o rozmowę prosiłem. Mówię z tobą, bo chcesz tego. Czemuż ci tak trudno znieść słowa moje?! Czy nie dlatego, że widzisz we mnie początek nowej klęski swojej? Czyżby piana zalewała twoje usta, gdybyś nie patrzył na mnie, jako na narzędzie boskie, które w niwecz twoje mozoły obróci? Z moich słów powstaną burze! z mojej krwi wyrosną hufce! Nad tobą, nędzarzu, śmiać się będą wszystkie wiatry! z ciebie szydzić będą wszystkie żywioły! Ty! który chcesz tak wiele, a możesz wiele tylko w tem, czego tak nie chcesz!

DYABEŁ (znużony).

Dosyć... dosyć... już... nie rozmawiajmy ze sobą.

DZWONNIK (łagodnie, jakby nieprzytomny).

Przejrzyj, nieszczęśniku! Może, może

w wielkiem dziele stworzenia nie tylko ty służysz człowiekowi, ale—i człowiek tobie!?

DYABEŁ (uważnie nadstawia uszu).

Co chcesz powiedzieć przez to?

DZWONNIK.

Może to zło, którego w wysiłku, w mące, w męce nie jesteś w stanie stworzyć,—ta harmonia, do której mimowoli swej bezustanku się przyczyniasz, — może to doświadczenie, które ci ciągle umyka z pamięci, jak woda z sita,—jest tylko wielką lekcją, jaką ci daje Najdobrotliwszy?! Może w nieskończonej cierpliwości swojej On czeka, aż przejrzysz i zgnieś kolana?!

DYABEŁ (z utajoną radością, prawie szeptem).

Powiadasz, że czeka, proroku?.. Powiadasz?.. że czeka (nagle się prostuje w całej sile i pyrze). Ah! Niech czeka!.. Niech czeka!.. (kłaszcze w dłoń). Dostyc mam z tobą rozmowy. Nudny jesteś.

KAT i dwaj jego POMOCNICZY wchodzi. Dyabeł, jakby w roztargnieniu, wskazuje mu Dzwonnika.

KAT.

Brać go chłopcy.

PACHOLEK 1 (z niskim ukłonem).

Wszystko już gotowe na przyjęcie jasnego pana.

PACHOLEK 2 (chwytając Dzwonnika brutalnie).

Dalej, ścierwo zatracone!

Wyprowadzają Dzwonnika.

DYABEŁ (sam, zadumany. Po długiej chwili rozgląda się wokół i jakby teraz dopiero spostrzegł, że jest sam).

Wzięli go (kiwa głową). Mistrz jest zwyčajnym rzemieślniczym. Artysty w nim niema ani odrobiny. Wyobraźni za złamany szeląg. Ale rzemieślnik wydaje się choć sumienny.

Cóż? Musi mi wystarczyć ten, skoro nie mam lepszego (p. ch. m.). Już go musieli rozciągnąć na deskach. Ceremonia to nie długa.

(P. ch. m.). A jednak, rozum mi mówi... (nagle urywa).

(Po chwili). Cóż mi rozum mówi?

(Z impetem). Że wpędzam tego obrzydliwca całą siłą mojego dyabelstwa do nieba! (p. ch. m.). Cóż z tego, gdyby nawet teraz, w środku mąk, wyrzekł się Jego,—gdyby Mu nawet bluźnił?! To język, kawał czerwonego mięsa, kłamać będzie woli i duszy.

A jeżeli on nawet nie skłamie?

Niema co, jestem w drodze do przyczynienia niebu jednego świętego więcej. Oto, co mi mówi mój rozum.

(Wstuchuje się bacznie w salę tortur).

Jeszcze czas. Hm! Tak. Inaczej, zupełnie inaczej, powinienem z nim postąpić. Wziąć go na dwór. Otoczyć dziewczkami. Nurzać w złocie i orderach. Zmiękczyć walką o władzę. Stworzyć mu współzawodników i wrogów. Raz go wynosić, raz go poniżyć. Czy oparł by się temu? W każdym razie miałbym jakąś szansę. To pewniejsze od łojem wysmarowanych sznurów i rozpalonego do białości żelaza. Hm! jeszcze czas! Jeszcze czas!

(Milczenie. Potem wsłuchuje się znowu w salę tortur).

Nagle krzyk Dzwonnika.

(Wesoło). Ah! dogodzili mu nareszcie! Nie! nie! nie! nie puszcę cię, człowieku boży! Nie! nie! Wszystko jedno, co mi mówi rozum!

(Nagle zastyga). Dlaczego ja nie słucham rozumu? Nie pierwszy raz się na tem łapię... Tak. Jest we mnie coś potężniejszego od myśli. Jest, jest...

(P. ch. m.). Przecież (z bojaźnią wielką). Przecież... Gdybym rozumował chłodno... Ah! czyż ja umiem rozumować chłodno.

(Krzyki przeraźliwe Dzwonnika od tej chwili nie ustają do końca. Z furją). Aa! Aa! Aa! Mam tego, któremu dałeś swój głos! Mam! Mieć

go będę dni całe... Nie oddam!.. Nie oddam dobrowolnie!.. Nie!.. Nie!..

Ty!.. Ty!.. Ty...

(Podczas ostatnich słów gnie się, jakby w ziemię wra-
stał. Ostatnie słowo krzyczy niemal na ziemi, potrzą-
sając pięścią do góry).

Zastona.



AKT IV.

SALA W ZAMKU.

W głębi szeroki balkon oszklony na podniesieniu dwóch stopni. Na prawo okute drzwi do skarbcza.

KRÓL (niecierpliw; na balkonie, wygląda na podwórze).

Moje waleczne wojsko powinno już wystąpić z koszar.

MARSZAŁEK.

Powinno, najdostojniejszy panie.

KRÓL (j. w.).

Rozkaz powinien być już przez generała-kondotiera wydany.

MARSZAŁEK.

Naturalnie.

KRÓL.

Podwórze jest jednak ciągle puste.

MARSZAŁEK.

To jest zadziwiające.

KRÓL.

Co sobie generał myśli?

SZAMBELAN (wchodzi, melduje).

Adjutant generała dowodzącego.

KRÓL.

Ah! Dowiemy się coś nareszcie o mo-
jem walecznym wojsku. Moznaby myśleć, że
umarło ono w wilię bitwy ze strachu.

ADJUTANT (wprowadzony przez SZAMBELANA).

Najdostojniejszy panie, mój bohaterski
zwierzchnik, generał-dowodzący walecznym
wojskiem twojem, polecił mi złożyć najgłęb-
szy pokłon przed majestatem twoim i zapew-
nić cię królu, iż gotów jest dla ciebie umrzeć.

KRÓL.

To jego obowiązek.

ADJUTANT.

Który spełni z rozkoszą.

KRÓL.

Czy wojsku wydany już został rozkaz
wystąpienia?

ADJUTANT.

Najdostojniejszy panie, generał dowodzą-

cy gotów jest każdej chwili umrzeć dla cie-
bie, co mi właśnie polecił oznajmić przed ma-
jestatem twoim...

KRÓL.

Jużes to zrobił.

ADJUTANT.

I polecił mi dodać, że jednak woli on
honor aniżeli śmierć.

KRÓL.

Co? co? woli honor, aniżeli śmierć?

ADJUTANT.

Tak jest, najdostojniejszy panie...

KRÓL.

Co to znaczy?

ADJUTANT.

Mojemu bohaterskiemu zwierzchnikowi
nie sprzyjało szczęście przy grze w kości.
W ostatnim miesiącu przegrywał ciągle, —
i przegrał w sumie duże pieniądze. Wtedy
z męstwem i stanowczością, których dał w ży-
ciu tysiące dowodów, zdecydował się na krok
ostateczny — i postanowił się odegrać. Trzy
razy więc wyrzucił kości, — tylko trzy razy —
trwało to krócej, aniżeli moje opowiadanie
o tym niezwykłym wypadku, — i w tym krót-
kim momencie przegrał (z naciskiem) dziesięć
razy więcej.

KRÓL.

Co mnie to może obchodzić?

ADJUTANT.

Jenerał-dowódca nie ma czem pokryć tej sumy. Uważa więc, że nie wolno mu wystawić na niebezpieczeństwo swego życia, którego strata pozbawiłaby szczęśliwych partnerów uczciwie im przynależnych zysków.

KRÓL.

Co?? Co?? (do Marszałka). Ależ to gwałt.

MARSZAŁEK.

Gorzej! To rozbój!..

KRÓL (p. ch. m.).

Ile wynosi jego przegrana?

ADJUTANT.

Miljon czterekroć sto tysięcy złotych.

MARSZAŁEK.

Wart łotr, aby go powiesić.

KRÓL.

Masz rację. Powiesimy go. Tylko niech naprzód bunt zdusi (do Szambelana). Zawołać skarbnika (Szambelan wywołuje ze skarbcza Skarbnika). Wypłacić adjutantowi na rachunek jenerała-kondotiera milion czterysta tysięcy złotych. (Szambelan, skarbnik i adjutat wychodzą).

MARSZAŁEK.

Oto dlaczego wojsko nie występowało z koszar! Oto rozwiązanie zagadki!

KRÓL.

Niechże teraz wyrusza! Niechże najprędzej wyrusza!

MARSZAŁEK.

Najdostojniejszy panie, racz się uspokoić. Ta marna banda zbuntowanych górali za wiele cię kosztuje zdrowia.

KRÓL.

Zapłaci mi ona za to.

MARSZAŁEK.

Należy ją lekceważyć.

KRÓL.

Lekceważyć?! Przecież oni dwa razy rozbili w puch moich zbirów! Ograbili ich z broni! Zabrali im hełmy i pancerze! Ta banda rośnie. Trzeba ją wytępić czempredzej.

MARSZAŁEK.

Co do nogi.

KRÓL.

Banda, której przewodzi dziewczka! I pobili moich zbirów. Bo wszak tej bandzie dziewczka przewodzi?

146

MARSZAŁEK.

Wiem to z pewnych relacji. Młoda dziewczka, bardzo piękna, z ogniem w oczach! Gdy krzyknie, lecą za nią, jak ślepi.

KRÓL.

Dziewka?! Czy ona z fartuchem rzuca się na moich zbirów?

MARSZAŁEK.

Mieczem ich wali, jak chłop.

KRÓL.

Dziewka?! Dobrą miałem policyę, nie ma co mówić.

MARSZAŁEK.

Brakuje naszym zbirom odwagi i poświęcenia. Najdostojniejszy panie, trzeba o tem pomyśleć. Mojem skromnem zdaniem, koniecznymi są poważne reformy, któreby zbirów napełniły odwagą i poświęceniem.

KRÓL (znowu na balkonie).

A na podwórzu najmniejszego ruchu. Oprócz szyldwacha nie widać żywej duszy. Czemu ten zbój marudzi?..

SZAMBELAN (wchodzi).

Bohaterscy oficerowie walecznego wojska naszego przysyłają delegacyę.

147

KRÓL.

Delegacyę?! Teraz czas bić się, nie gadać (p. ch). Czegoż oni chcą jednak? (daje znak. Szambelan wprowadza oficera starszego i oficera młodszego).

STARSZY OFICER.

Najdostojniejszy królu! Wszyscy oficerowie twojego wiernego wojska zapewniają cię uroczyście, przez nasze usta, że gotowi są umrzeć dla ciebie.

KRÓL.

Cieszy to mnie szczerze; oświadczcie to odemnie dzielnemu związkowi oficerów.

(Pokłony).

Czy generał-dowodzący wydał już rozkazy?

STARSZY OFICER.

Tak jest, najdostojniejszy panie. Ale... (zatrzymuje się).

KRÓL.

Ale?.. Co?..

MŁODSZY OFICER.

Zostały one w zawieszeniu. Chwilowem, oczywiście. Wszyscy oficerowie doszli do przekonania, iż zanadto dotychczas lekceważono ich życie, aby im, z kolei, wolno było lekceważyć sobie śmierć.

KRÓL.

Małoż jesteście płatni? Zresztą, zwyciężcie! Obsypię was złotem.

STARSZY OFICER.

Słaba to pociecha dla tych, co pozostaną w polu—piasek gryźć.

KRÓL.

Czegóż więc chcą bohaterscy moi oficerowie?

MŁODSZY OFICER.

Żołdu z góry—za pięć lat.

STARSZY OFICER.

Musimy zabezpieczyć nasze biedne żony.

MARSZAŁEK.

Żony?! A który z was ma żonę?.. Czy jest choć aby jeden taki?! Z nałożnicami sy-piacie!

STARSZY OFICER.

Właśnie... Na to trzeba więcej pie-niędzy.

MARSZAŁEK (do króla).

O, lotry bezecne!

KRÓL (p. ch. tłumii wściekłość).

Wyplącić!

SZAMBELAN prowadzi OFICERÓW do skarbcza.

KRÓL.

I cóż ty na to, mój marszałku?

MARSZAŁEK.

Najdostojniejszy panie, widzę teraz zupełnie jasno sytuację. Potrzebne są gruntowne reformy wśród oficerów, któreby im nadały większą bezinteresowność i wierność, zwłaszcza zaś wpoily w nich większą niecierpliwość do spotkania się z nieprzyjacielem.

KRÓL.

Moi bohaterscy oficerowie są bardzo cierpliwi, istotnie (wchodzi KOCHANICA). Jak się masz, stokrotko (do Marszałka). Idź, zobacz, czy wojsko przejmuje się dostatecznie żądzą zwycięstwa. Przyrzeknij żołnierzom medal na pamiątkę uśmierzenia buntu.

MARSZAŁEK wychodzi.

KOCHANICA.

Więc to prawda?! Więc to prawda?! Twój tron jest zagrożony?!

KRÓL (zdziwiony).

Co?! mój tron zagrożony? Co ci się śni?

KOCHANICA.

Powtarzam, co słyszę.

KRÓL.

Jakto? o tem mówią?

KOCHANICA.

Ukradkiem, ale wyraźnie.

KRÓL (spokojnie).

Nie wiedzą, kto przy mnie stoi.

KOCHANICA.

Co on na to mówi?

KRÓL.

On? Nie mówiłem z nim o tem... Nawet — to dziwne. Dawniej nie czekał, aż go wywołam, gdy mi się zdarzały komplikacje. Sam przybywał. A teraz, kiedy jestem w kłopotach, unika mnie. Ładny przyjaciel (p. ch.). Hm! a może to jego psi figiel, ta cała ruchawka? Chwalił się niedawno przedemną, że on nie jedną rewolucję urządził.

KOCHANICA.

W każdym razie należy zabezpieczyć twoje klejnoty. Przynajmniej koronę. Gdyby górale dostali się do zamku, przecież pierwsza rzecz, rzuciliby się zaraz do skarbcza.

KRÓL (wesóło niemal).

Co ci do głowy przychodzi... Zresztą, stał się ten skarbiec dziś nieco lżejszy.

KOCHANICA.

Ale korona?

KRÓL.

Cóż, korona?

KOCHANICA.

Masz przecież w niej brylanty, jakich nie ma żaden inny król na świecie.

KRÓL.

To pewna.

KOCHANICA.

Należy je skryć.

KRÓL.

Tak myślisz?

KOCHANICA.

W niepewnym czasie, to pierwsza rzecz do zrobienia. Nie przypuszczam nic złego... ale — gdybyś musiał na czas jakiś gdzie schronienia szukać?! Mając koronę, masz środki; za jeden brylant jej wystawisz nowe wojska, a takich brylantów masz dwadzieścia.

KRÓL.

To prawda... Ale...

KOCHANICA.

Zanadto ufasz dyabłu, mój drogi. Zawsze ci to mówię, bo cię kocham. Ale ty, ty, w niego tylko wierzysz.

KRÓL (kontent).

Jesteś mała zazdrośnica.

KOCHANICA.

Zazdrość ma jednak dobre strony...

KRÓL.

Tak, patrzy ona zawsze w jedno miejsce, dlatego nieraz doskonale widzi. Istotnie, będę miał się więcej na ostrożności.

KOCHANICA (przymiła się mu, łechce go).

Słuchaj, mam doskonałą myśl. Musimy się zabezpieczyć. Daj mi koronę do schowania. Nikomu nie przyjdzie na myśl szukać jej u mnie. Zresztą, niech szukają.

KRÓL (łechtany, wesoło i lubieżnie).

No, dajże spokój.

KOCHANICA.

Schowam ją dobrze (ostro). Ty gałganie, będziesz się mnie słuchał? Czy mam cię za uszy wytargać? (Targa go za uszy. Król lubieżnie całuje jej ręce. Ona targa go mocniej).

KRÓL.

Oj... boli...

KOCHANICA.

Niech boli (klepie go po twarzy). Każ przynieść tu koronę.

KRÓL.

Toć wszystko jedno.

KOCHANICA.

Może nie być wszystko jedno. Zresztą chcę od ciebie tego dowodu zaufania. A zarazem—chcę mojego spokoju. Te wieści wytrąciły mnie z równowagi.

KRÓL.

Głupie wieści... Ale jeżeli ci to do spokoju potrzebne...

KOCHANICA.

Każ przynieść koronę.

KRÓL.

Dobrze, stokrotko, dobrze. (Uderza w metalowy bęben. Wchodzi skarbnik). Przynieś mi koronę. (SKARBNIK wychodzi). Kontenta jesteś ze mnie, co?

KOCHANICA (udaje małą dziewczynkę).

Manusia pa—pa. Manusia będzie grzeczna, bardzo grzeczna...

KRÓL.

No, pamiętaj, żebyś mi była grzeczna.

KOCHANICA.

Manusia pa—pa...

KRÓL.

Ah, ty, skarbie mój. Przy tobie o rewolucji nawet się zapomina.

SKARBNIK wnosi duże puzdro. KRÓL daje mu znak, aby odszedł.

KOCHANICA (otwiera puzdro, zachwycona).

A! teraz będę naprawdę królową... bo mam koronę.

KRÓL.

Masz... Pobaw się nią, jeżeli ci to przyjemność robi.

KOCHANICA.

Bywaj zdrów (techce go raz jeszcze).

KRÓL.

No... no...

KOCHANICA (ucieka bardzo prędko z puzdrem).

KRÓL (sam. Jakiś czas pod wrażeniem lubieżnym, potem poważnieje, smutnieje).

Ale to dziwne, czemu on się nie zjawia. (Idzie na balkon, wygląda na podwórze). Nic! ani znaku życia. Cisza... Dziwna cisza (zamyka drzwi na rygle. Wydobywa pałeczkę magiczną. Kreśli pentagram).

ZAKLĘCIE:

Nieśmiertelny w swojej dumie,
Nieprzeparty w swym rozumie,
Królu nocy! Zła ogromie!
Pospiesz, zjaw się, przybądź do mnie,
Niech przeniknie mnie twe płomień.

Nic?! Nic?! (milczy). Co to jest?! Czyż ty mnie odstąpił, przyjacielu?! Czy mnie nie chcesz usłyszeć?! Czy nie wiesz, jak mi

jestes potrzebny?! Nie—nie—ja się na tobie nie mogę zawieść. Przybądź! przybądź! ulituj się! Wątpliwości poczynają mnie szarpać, jak kleszcze tortur!.. (milczy). Nic?! nic?! Jestem więc zdradzony?! Nie, nie, tyś do tego nie zdolny! Przybądź! Nie daj się dłużej prosić... (milczy).

Pukanie do drzwi. KRÓL odsuwa rygiel.

MARSZAŁEK.

Wybacz, najdostojniejszy panie, pilna sprawa.

KRÓL.

Mów.

MARSZAŁEK.

Żołnierze nie chcą wystąpić w pole.

KRÓL (z przestrachem).

Co? co mówisz?

MARSZAŁEK.

Nie słuchają oficerów.

KRÓL (j. w.).

Dlaczego?

MARSZAŁEK.

Chcą złota i wina.

KRÓL.

Chcą... złota... Czyż nie płacę im dość żołdu?...

MARZAŁEK.

Powiadają, że tego było dość w czasie pokoju, gdy się za to nic nie robiło.

KRÓL (wybucha).

Ależ moje waleczne wojsko — to zgraja złoczyńców!

MARZAŁEK.

Właśnie, właśnie, właśnie. Widzę, że w organizacyi wojskowej niezbędne są gruntowne reformy, któreby wróciły żołnierzom wojowniczość, a przede wszystkim posłuszeństwo.

KRÓL (krzyczy).

Dać im złota! Dać im wina! I niech idą w pole!

MARZAŁEK idzie do skarbcza.

KRÓL (chwilę zamyślony).

Ah! musiałem zapomnieć nakreślić pentagram (kreśli). Tego mu brakowało!

(Woła). Do mnie! Do mnie! Do mnie!

Nic?! Nic?! jeszcze nic?! Więc byłbym istotnie zdradzony?! (woła gwałtownie). Do mnie! do mnie! Rozkazuję ci, czarny łotrze! Czy słyszysz? (tupie nogą). Tu! tu! psie piekielny! tu! poczwaro z płonącej smoły! Tu! tu! (Łamie pałeczkę). Ah! podły oszuście! Myślisz, żeś mnie uwiódł i na śmiech wystawił! Mylisz się, czarny złodzieju! Poczynam

się brzydzić tobą! czy słyszysz? poczynam tobą pogardzać! czy ci tego nie dość? Ha! ha! Mam jeszcze coś dla ciebie. Od dziś, od dziś, słuchaj mnie uważnie, poczynam się modlić! Ha! ha! Zaraz każę bić we dzwony, bić we dzwony tak mocno, aż na dnie piekła słychać będzie! Ha! ha! Prorok?! gdzie jest ten młody prorok! Przyprawdźcie go do mnie! Złotem go obsypię! Ha! ha!

Nic?! nic?! Nie wstrzymujesz mnie od tego, podły gadzie, plugawy wężu!...

(Z przestachem). Co to jest? Co to znaczy? Czy to już mój koniec? Czy to górale są już w zamku? (oszałały prawie). Nikt mnie nie broni! Aa! Aa!...

MARZAŁEK i SZAMBELAN (wchodzą, radośni, razem).

Najdostojniejszy panie...

KRÓL.

Co?! co?! co za podła radość patrzam wam ze ślepiów?! Zdrajcy! Sprzedaliście mnie!

MARZAŁEK.

Żołnierze wołają, że gotowi są umrzeć dla ciebie.

KRÓL.

Co? co?

MARSZAŁEK.

Dałem im po sto złotych i kazałem wy-
toczyć dziesięć beczek starego wina.

KRÓL.

To moi żołnierze tak krzyczą?

MARSZAŁEK.

Oni! oni!

KRÓL.

I czego oni krzyczą?

MARSZAŁEK.

Piją za twoje zdrowie, najdostojniejszy
panie. Przystoi, abys im się ukazał na bal-
konie.

KRÓL (idzie do okna. Ogromne krzyki i wiwaty).

Wina. (Przynoszą mu puhar). Piję za zdro-
wie mojej niezwyciężonej armii.

Krzyki za sceną ogromne. Potem milkną.

MARSZAŁEK.

Co za zapał ich ogarnął?! Zarzucają oni
górali czapkami! Nie będą ich mieli dosyć na
przekąskę.

Nowe krzyki: Niech żyje król! Vivat!

KRÓL.

Czego oni chcą jeszcze?

MARSZAŁEK.

Najdostojniejszy panie, oficerowie chcą
wypić zdrowie twojej najpiękniejszej faworyty.

KRÓL (do Szambelana).

Poproś (Szambelan wychodzi). Serce napo-
wrót wstępuje w moje piersi. Dobrze, dobrze.
Niech i ona zobaczy, jak moich zuchów roz-
grzało do walki. Oficerowie dzielni ludzie.
Nie żal mi pieniędzy. A! przebudziliście się
nareszcie, moje lwy!

Krzyki nowe: Vivat! Vivat!

(Bierze za puhar). Nalać mi wina. I ja wy-
piję zdrowie mojej najpiękniejszej.

SZAMBELAN (wchodzi zmieszany).

Najdostojniejszy panie...

KRÓL.

Co? co? cóżeś tak oczy postawił ko-
łem?! Gdzie ona?

SZAMBELAN.

Niema jej w zamku.

KRÓL.

Niema jej w zamku?!

SZAMBELAN.

Niewiasty jej powiadają, że przed pół go-
dziną zabrała wszystkie swoje klejnoty, pienią-
dze i jakieś puzdro, a kazawszy sobie podać
najlepsze konie, uciekła co tchu.

KRÓL (patrzy obłąkanemi oczami wokół; bez tchu).

Zdrada... Zdrada... I on! i ona!...

Ciska puhar o ziemię.

(Oblakany). A! teraz rozumiem... On mi ją uwiódł! On mi ją zabrał... Aa! To jasne... Wszak ją przy mnie całował! Rozumiem... rozumiem... To dla tego, zdrajca, nie pokazał się, kiedym go wołał, prosił, błagał... On wtedy był przy niej. Ona mu wtedy, a! a!...

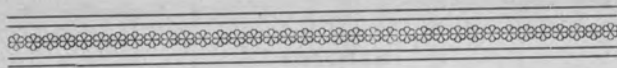
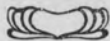
MARSZAŁEK.

O kim mówisz, najdostojniejszy panie?

KRÓL (z krzykiem).

Sprowadź mi ich oboje!... Gonić! Łapać! Wiązać! Słyszycie huncwoty?! Czemuście ich puścili, lotry! Aa! Ze skóry was wszystkich żywcem obedrzeć! Wszystkich, w całym państwie. Co do jednego! Mistrza mi tu dać! Mistrza!

Z a s t o n a.



A K T V.

OBRAZ I.

Zarośla. GÓRALE. Kilku MIESZCZAN. Rodzaj obozu. W paru miejscach palą się ognie i przy nich czuwają szyldwachy. Śpiewają cichym głosem psalmy. Noc. Wszyscy uzbrojeni w różny sposób: pałasze, halabardy, widły, kosy. Śpią po krzakach.

Słychać monotony śpiew CZUWAJĄCYCH przy ogniu:

A kto orze ziemię smutny
I kto sieje ze łzami,
Ten żąć będzie w uśmiechach,
A plon zbierze w radości.

Za sceną słychać krzyk szyldwacha. CZUWAJĄCY przy ogniu zrywają się. Podchodzi do nich DZIEWCZYŃA która siedziała pod drzewem, w hełmie, pancerzu, z mieczem u boku.

SZYLDWACH.

Kto idzie?

MALARZ (za sceną).

Przyjaciel.

SZYLDWACH.

Hasło?

MALARZ.

Dzwony.

DZIEWCZYNA.

To malarz wraca z wywiadów.

MALARZ (wchodzi. Młody chłopiec, długie włosy.
Płaszcz czarny, fantazyjny).

No, jestem, (Szyldwachowie go otaczają).

RANT (cały uzbrojony).

Masz wieści?

MALARZ.

Pełno. I jak najlepsze.

DZIEWCZYNA.

Jak najlepsze? Mów je prędzej.

MALARZ.

Udało mi się spotkać żołnierza, który tylko co właśnie porzucił służbę... To my napędziliśmy mu stracha. Całe wojsko wezwano przeciwko nam. Król rozrzuca między nie złoto, niemal bez liczby. Mój zuch, zabrawszy, co mu się należało, a, jak myślę, i trochę tego, co mu się nienależało — bo był bardzo objuczony — wziął nogi za pas i leci, gdzie bezpiecznie będzie mógł smakować dobrze zasłużone dary.

RANT.

A twoje wieści? Te najlepsze?

MALARZ.

Alboż je wam chowam? Toć mówię językiem, jak należy: jutro będziemy mieli do czynienia z całym wojskiem królewskim.

RANT (zasmucony).

To miałeś na myśli?

DZIEWCZYNA (kładzie malarzowi rękę na ramieniu).

Chłopcze, dusza lwa w tobie mieszka.

MALARZ.

Lew chce pić tym czasem. Dajcie mi zaraz garniec krwi. Co? nie macie krwi? No, to proszę o łyk wody (idzie do ogniska).

DZIEWCZYNA.

Słuchajcie, bracia. Jutro, już jutro spotkamy się z najemnikami, którzy za garść monety gotowi są zabijać każdego, na kogo im wskażą. Tacy życie własne tem drożej cenią, im mniej każą sobie płacić za cudze. Niech tylko w waszych oczach zobaczą śmierć swoją, pewną śmierć swoją, a odlecą od was, jak spłoszone kruki. Czy jesteście gotowi?

GŁOSY.

Jesteśmy.

GÓRAL 1.

To w sprawie bożej. Zwycięzimy albo zginjemy.

DZIEWCZYNA.

Coś powiedział? Nie o waszą zgubę tu chodzi. Ginie tylko ten, kto nie ma dość wiary w zwycięstwo! Nic nikomu po zgubie waszej. Zwyciężyć musicie. Zwyciężyć koniecznie.

SZYLDWACHOWIE wracają do ognisk. W ciągu następnej sceny słycać cichy śpiew ich psalmów.

DZIEWCZYNA.

Rant...

RANT.

Słucham cię.

DZIEWCZYNA.

W tobie serce znowu zemdlalo.

RANT.

To „jutro“ wyglada strasznie. Nie ze zbirami będzie sprawa, którzy przywykli bezbronnego ciemnić. To—wojsko. Przytem—nas jest garść Ich wystapi dziesięciu na jednego.

DZIEWCZYNA.

Jesteś zmienny, jak wiatr, Rant. Onegdaj wpadłeś na zbirów, niby furja. Ledwieśmy nadażyli za tobą. A gdyśmy nadażyli, położyłeś już nędzników cały zagon. Miałeś ich

dwudziestu wokoło siebie. A teraz — lękasz się dziesięciu, których niema. Rant, masz za wiele fantazyi. Każ myślom swoim milczeć. Niech tylko ręka twoja przemawia.

RANT.

To wojsko... wojsko...

DZIEWCZYNA.

Rant! Rant!...

RANT.

Bądź spokojna. Ręka moja będzie mówić, gdy przyjdzie na nią kolej głosu. Nie zadrzy. Nie zemdleje. Ale przecież mam głowę do myślenia, widzę co się w koło mnie dzieje, i nie mogę nie spostrzegać, że to, co przedsięwzięliśmy, jest szalonym.

DZIEWCZYNA.

Skąd ty wiesz, co jest szalonym w przedsięwzięciach ludzkich? Powiedz mi, ażali to było szalonym, czy też roztropnym, wierzyć, że na głos prostej dziewczki powstanie trzystu mężów, gotowych umrzeć w sprawie bożej?! Czy to było szalonym, czy roztropnym, w trzystu rzucać się z kijami, z widłami na tysiadc uzbrojonych w stal zbirów?!

RANT.

Niezawodnie, to było szalone, muszę ci to przyznać.

DZIEWCZYNA.

Więc widzisz, że wypada nam strzedz się tylko roztropności. Prześpij się, Rant, proszę cię.

RANT (już uspokojony i jasny).

Kto cię nauczył tak pędzić ludzi, dziewczyno? Dobranoc (wychodzi).

CHÓR SZYLDWĄCHÓW:

Jako dym, niechaj się rozejdą w powietrzu.
Jako wosk, niech się rozpląną w ogniu.

MALARZ (zbliża się do dziewczyny).

Więc jutro się z nimi zmierzymy. Niezawodnie wyjdą bowiem przeciwko nam w pole.

DZIEWCZYNA.

Dałby Bóg.

MALARZ.

Tak, w polu łatwa będzie sprawa. Rozgonimy icy, jak stado kaczek. Ale gdy uciekną za mury miasta?!

DZIEWCZYNA.

Kamienie muszą tak samo przed nami ustąpić.

DZIEWCZYNA.

Ale to może potrwać dni kilka. Czy myślisz, że nasz dzwonnik żyć będzie jeszcze?

DZIEWCZYNA.

Będzie. Rozmawiałam z katami uważnie, każde ich słowo w pamięć wrażając sobie, na chłodno, jakby żadne z nich nie dochodziło mego serca. Okrucieństwo samo tych ludzi, — jeżeli godzi się im dawać to miano — zachowuje go. Ono go zbawi.

MALARZ.

Chciałbym choć raz jeden spojrzeć w oczy temu dziwnemu dzwonnikowi, przed którego imieniem samem klęczy dusza, taka, jak twoja, dziewczyno. Raz jeden nań spojrzeć. Mam pewność, że potem szedłbym przez życie bystro, równo i pewnie — jak strzała, puszczona z ręki doskonałego łucznika, leci do celu (p. ch. m.). Eh! spać nie mogę.

DZIEWCZYNA.

I ja też.

MALARZ.

I czym ja myślał, tydzień temu, gdyś z mojami farbami wychodził w góry, że wpadną w taką zawieruchę?

DZIEWCZYNA.

Nie myślałeś ani trochę?..

MALARZ.

Wychodziłem malować naturę, tę kochankę, tę wietrznice, która nas, artystów, wabi—

i zwodzi. Ale tym razem czułem się doskonale usposobionym i mocnym. Natura mówiła do mnie tak wyraźnym głosem, tak szczerze, jak nigdy dotychczas. Lekko mi było i dobrze. Pewny byłem mojego pendzla. Oczy moje pełzały z lubością, z rozkoszą, po dolinach, ocienionych sadami zielonemi, i po pochyłościach, na które wspinały się gęste świerki, wyłoczone słońcem. I naraz, na drodze miejskiej zobaczyłem ciebie. Otaczało cię kółko górali. Tyś do nich przemawiała. Podstąpiłem, przystanąłem, począłem cię słuchać. Żar dziwny szedł od ciebie, jakbyś była pochodnią, płonąca od góry do dołu. Nie wiem, coś mówiła. Ale twoje słowa samym dźwiękiem swoim przeszywały mnie nawskróś, niby strzały. I niby garść suchej słomy, rzuconej za blisko ogniska, zapaliłem się cały od ognia twojej duszy. Kiedyś pierwszy raz poczerpnęła powietrza zmęczoną piersią—już byłem twój,—cały,—jak jakakolwiek rzecz twoja.

DZIEWCZYNA (czyni gest).

MALARZ.

O! możesz tego bez ujmę słuchać. Poszedłem za tobą natychmiast, jak się idzie za głosem przeznaczenia, jak spada po prostej linii na ziemię kamień, strącony z krawędzi górskiej. Przebiegliśmy parę wsi w kilkoro. Leciąłem, czekając, aż wypoczniesz, przysią-

dziesz, abym mógł cię malować; byłem pełen żądz malowania cię i zarazem pełen dziwnego strachu, bo mi sama radość, jakiej doznawałem, patrząc na ciebie, mówiła, że pędzel mój będzie bezsilny wobec rajskiej piękności twojej. (Niepozwała jej mówić). Posłuchaj mnie jeszcze chwilę. Ta moja żądza malarska i ten mój strach nie trzymały się mnie długo. Słuchając cię ciągle, począłem w końcu cię słyszeć, potem zwolna rozumieć. I zrobił się ze mną cud drugi. Cisnąłem moje farby i pędzle. Pojąłem, że człowiek może uczynić sam siebie arcytwarem a z życia swojego zrobić arcydzieło. Tyś tego mnie nauczyła. Było to dzieło dwóch obrotów słońca. Ledwie dusza moja otworzyła się do miłości, dojrzała zaraz do heroizmu. Co za dziwna rzecz—ta dusza ludzka?! Nie wiedział bym nic o niej—bez ciebie. Czem bo byłbym, gdybyś nie przestąpiła drogi mojego życia? Motylem, rozmilowanym w kolorach, póki by mi się nie wytarły skrzydła, póki bym się nie zamienił na pełzającego wśród prochów robaka. O! bądź błogosławiona.

DZIEWCZYNA (łagodnie).

Teraz cię właśnie słuchać nie mogę. Za co mnie błogosławisz? Może zginiesz już jutro?

MALARZ.

Z mieczem w rękę?! z imieniem Boga

na ustach?! I w twoich oczach?! Nie! nie zginę jutro. To byłoby za wiele szczęścia.

CHÓR SZYLDWACHÓW:

Niema dla dobrego złej godziny,
A strach ucieka przed sercem jego.

SZYLDWACH.

Kto idzie! Hola! stać! Do mnie!

SZYLDWACHOWIE się zrywają. Wybiegają za scenę.
Po chwili wprowadzają MIESZCZANINA 3-go. Wchodzi
RANT.

RANT.

Kto jesteś?

MIESZCZANIN 3.

Uczciwy człowiek. I szukam uczciwych ludzi. Czy to wy jesteście dzielni górale, którzy już wytrzymać nie mogą ucisku, w jakim znajduje się u nas wszystko, co jest dobre?

RANT.

Mów do nas śmiało.

MIESZCZANIN 3.

W takim razie—śpieszcie do stolicy. Co prędzej. Ona was czeka, jak pokutnik na miłosierdzie.

RANT.

Tam jest wojsko.

MIESZCZANIN 3.

Nie dawaj tej uczciwej nazwy bandzie zbrodniarzy. Obudzili oni w sobie trunkiem zwierzęce chuci i rzucili się dziś na miasto, jak wilki na otwartą naościęz owczarnię.

DZIEWCZYNA.

Cóż robią te wilki?

MIESZCZANIN 3.

Pożerają nas. Rabują dobytek, gdy znajdują, i znęcają się nad naszymi kobietami. A znikąd ratunku. Tych, co poszli ze skargą do marszałka, pozabijano. Wielu mniema, że to koniec świata. Inni od zmysłów odchodzą. Garść ludzi śmielszych wysłała mnie do was. Przychodźcie zaraz. Idźcie na wschodnią bramę. Tam znajdziecie zebranych mieszczan, którzy odnaleźli w sobie ducha pod uciskiem rozpaczy i są gotowi na wszystko, podobnie, jak wy.

GÓRAL STARY.

A jeżeli to jest podstęp? Jeżeli ten człowiek nas zwodzi?

MIESZCZANIN 3.

Wszak macie mnie w rękę. Pójdę z wami. Nie puścicie mnie od siebie ani na chwilę. Tylko się śpieszcie. Jeżeli dobrze skorzystacie z reszty nocy, będziecie mogli rankiem rznąć

tych nędzników, jak się rżnie woły w szlach-
tuzie.

MALARZ.

Nie, on nie zwodzi! Prawda tryska z je-
go oczu!

DZIEWCZYNA.

Bracia! Zwycięstwo wyszło samo na-
przeciwko nam! Wyszło, jak gościnny gospo-
darz, otwierając zdala przed gośćmi drzwi
swego domu. Niech się w piersi bije ten, w kim
chwiała się nadzieja.

RANT (dzielności pełen).

Wstawać, kto się jeszcze nie obudził!
W drogę! Naprzód! Jutrzejsze słońce powita
w nas mścicieli.

OBRAZ 2.

Kacia wieża. (Jak w 3-im akcie). Dzwonek. Dozorca
otwiera drzwi. Wchodzi KAT i PACHOLEK 1-y.

KAT (wita się).

Dzień dobry. Jakże się spało?

DOZORCA.

Ha, no, jak zawsze dozorca więzienny
spać powinien: jednym okiem i jednym uchem.

KAT (częstuje go tabaką).

Na przemiany, niby, to tem, to tem...

DOZORCA.

Juści... Będiesz dziś co majstrował,
mistrzu?

KAT (bardzo zakłopotany).

Sam człowiek nie wie, co ma robić. Peł-
nomocnik królewski nie przychodzi,— a zaka-
zał mi ruszać tego zbrodnia bez siebie. Wczo-
raj nie był, onegdaj nie był,— żeby sobie choć
dzisiaj o nas przypomniał. Jest to bardzo godny
pan. I zna się na dobrej robocie. Oho!

DOZORCA.

A oczy to mu tak latają ciągle na wszyst-
kie strony.

KAT.

Właśnie, właśnie, bardzo godny pan.
I raźnie mi pracować pod nim; raz, bo się zna,
a drugi, bo taki żartobliwy! Kiedy tak na
niego patrzeć, to niby zły; zdaje się, że mu
niczego nie dosyć, żeby człowiek nie wiem
jak się starał. Klnie, łaje, myślę, że mnie nie-
raz uderzy, dalibóg. A jak skończę moją sztu-
kę, to się uśmiechnie, po ramieniu poklepie
i nawet rzeknie co na pochwałę. Godny, god-
ny pan. A na tego zbrodnia strasznie zawzię-
ty. Aż kipi w nim wszystko (gniewnie do pachol-
ka, który słuchał rozmowy z rozdziawioną gębą).
A ty co masz tu do wysłuchiwania, kiedy
starsi ze sobą rozmawiają? Marsz tam! Za-
mieć izbę!

PACHOLEK wychodzi na prawo, do sali tortur.

DOZORCA.

A gdzie to wasz drugi pachół?

KAT

Uchłało się, bydlę, w nocy i leży na podwórku, niby brukowiec. W mieście się tej nocy działy jakies dziwności. Czy nie wiesz, co to było?

DOZORCA.

Skądże mam wiedzieć?! Toż z wieży nie wyłażę.

KAT.

I ja się nie wtrącam nie w swoje. Od roboty jedna mi droga do domu, a z powrotem ta sama. Ale musiało to być, jak myślę, coś nadzwyczajnego. Przed moim domem, na przykład, tak wedle wieczora, to zaczęły się takie straszne krzyki i wołania: „ratunku!“ „pomocy!“, „litości!“ Poskoczyłem więc co prędzej do drzwi...

DOZORCA (zasłuchany).

Aha! aha!

KAT.

...i zaryglowałem je na trzy spusty.

DOZORCA.

Dobrześ, mistrzu, zrobił.

MARSZAŁEK (wbiega zmieszany, podniecony, bardzo niespokojny).

Czy dzwonnik żyje jeszcze?

DOZORCA.

Panie, zaglądałem do niego wczesnym rankiem. Żyje, ale...

MARSZAŁEK.

Ale co?

DOZORCA.

Ale, po prawdzie, to ledwo już zipie.

MARSZAŁEK.

Przyprowadzić go tu natychmiast.

DOZORCA.

Oh! przyprowadzić?! Chyba przynieść, panie...

MARSZAŁEK (bardzo niecierpliwie).

Więc przynieść.

DOZORCA (daje znak Pachółkowi, który ukazał się na progu, idą obaj do celi Dzwonnika).

KAT.

Tak, panie, już od kilku dni trzeba go nosić. Sam nie ustoi.

MARSZAŁEK (ostro).

Żebyś mi go więcej nie tknął. On musi żyć.

KAT (ździwiony).

Musi żyć?

MARSZAŁEK.

Tak. I biada ci, łotrze, jeżeli umrze.

KAT.

Panie, jam spełniał rozkazy królewskie...

MARSZAŁEK.

Słuchać! Teraz ja rozkazuję. A jak cię zapytają o dzwonnika, to masz powiedzieć, że to ja, rozumiesz ja, ja go ocaliłem. Żem zabronił ci go męczyć. Żem go wyrwał z twoich rąk. Żem go przy życiu utrzymał.

KAT (nie rozumie).

Aha, więc niby, jak mnie król zapyta...

MARSZAŁEK.

Nie król!.. Nie król!.. Król już cię o nic nie zapyta! A jeśli i zapyta, to mu nie wiele przyjdzie z twojej odpowiedzi. Teraz tu kto inny rządzić będzie...

KAT.

Kto inny?! A któż to panie...

MARSZAŁEK (z nadzieją tajemną).

Kto? Hm! To jeszcze nie wiadomo. Może ja — z nim (wskazuje na Dzwonnika, którego Dozorca z Pachółkiem wnoszą i składają na ziemi).

W każdym razie nie widzę, co by mi do tego, w istocie, przeszkadzało.

KAT.

Co? z nim? Więc to nie jest wielki zbrodzień?

MARSZAŁEK.

Ośle łbisko! Ażali to nie jest wszystko jedno, czy on jest wielkim zbrodniem, lub nim nie jest?!

KAT (zmieszany).

Jakto? to ma być wszystko jedno?

MARSZAŁEK (do Dzwonnika).

Człowieku! przychodzę cię ocalić! Tak. Ja! ja ciebie ocalam! Spójrz, spójrz z wdzięcznością na swojego zbawcę. Ależ on nie ma przytomności.

KAT.

Już wczoraj, panie, nie wiedział, co się z nim dzieje.

MARSZAŁEK (do Dozorcy).

Leć do królewskiej kuchni. Przynies mu zaraz—co tam jest najlepszego. Wina, owoców, pasztetów! Prędko! Prędko!

DOZORCA (wybiega).

KAT (kręci głową).

MARSZAŁEK.

Dziwisz się, błaznie! Azaliż nie wiesz, że koło fortuny toczy się wartko?! Trzeba stać na nim, przebierając nogami. Inaczej cię rzuci i stratuje (do Dzwonnika).

Oddychasz?! Dobrze! Bardzo dobrze, przyjacielu! Ja już posłałem gońca do twoich górali! Ofiarowałem im pomoc i sojusz! Jak się nań zgodzą—wydam im miasto! Czy słyszysz? Ja! ja! ja! ciebie ocaliłem, a im wydam miasto!..

Naraz słyhać w oddali głos dzwonu.

MARSZAŁEK (drgnął).

Co to?

KAT (drgnął również).

Nie wiem.

Oboje wsluchani. Po chwili—dzwon.

KAT.

To dzwon, panie.

MARSZAŁEK.

Dzwon? To być nie może.

KAT.

Ja wiem, że to nie możliwe. Ale przyśląbym, że dzwon.

MARSZAŁEK (przestraszony, szeptem niepewnym).

Dzwon... Dzwon...

Znowu dzwon.

KAT (już pewny).

Panie, to jest dzwon kościoła na przedmieściu. To on! Nie może być wątpliwości!

MARSZAŁEK (szeptem, pełen strachu).

Dzwon kościoła na przedmieściu?! Nie może być... Byliżby górale już na przedmieściu... W takim razie... W takim razie... mój plan za nic!

Dzwon.

KAT.

Oh! Panie! Wsluchaj się tylko dobrze. To on! On!

MARSZAŁEK (wybucha).

Łiesz! Łotrze! Łiesz! Obwiesiu!

KAT (bardzo obrażony).

Obwies! Ja?! Ja? Tego nikt nam nie miał prawo powiedzieć od piątego pokolenia! Myśmy należeli zawsze do tych co wieszają, panie!

MARSZAŁEK.

Łiesz! Łiesz! Mówię ci, to nie dzwon!

Dzwon.

KAT.

Ależ, panie, dzwoni! Przecież słyhać, jak dzwoni.

MARSZAŁEK.

W uszu nam obu dzwoni! (biega nieprzy-

tomny po sali). Nie! Nie!.. To nie prawda!
A czy wiesz ty, co ten dzwon zwiastuje nam
obu? Ze skóry nas obedrą teraz!

KAT (dumny).

Co? Mnie? ze skóry obedrą? To był-
by w takim razie koniec świata, bo tylko je-
den Antychryst miałby do tego prawo. Mnie?!
ze skóry obedrzeć?! Za cóż, panie? Jam
pełnił pilnie mój obowiązek i żadnej winy na
sobie nie mam!

Nagle uderzenie dzwonu bliższego i większego.

MARZAŁEK (nieprzytomny)

A to?! a to?!

KAT.

To nasz dzwon katedralny!

MARZAŁEK.

Na rynku już są?! na rynku! Niech się
ratuje, kto może (ucieka).

KAT (zdziwiony ciągle).

Ratować się?! ratować się?!

DOZORCA (wbiega).

Mistrzu! Co mam robić? Wszystko, co
żyje w zamku, ucieka ile ducha!.. Mówią,
że źle będzie królewskiej służbie!

KAT (p. ch. m.).

Ja — nie ucieknę! Pójdę do domu i będę

czekał na rozkazy tego, co przyjdzie rządzić!
Toć mistrz musi być w zamku! Jakże byłby
zamek bez mistrza! A mnie znają, że po-
słuszny i znający rzemiosło. Tak. Nie mnie
przystoi uciekać.

Wychodzi z Dozorcą.

Od tej chwili oba dzwony biją coraz to z mniejszemi
przerwami i w miarę zbliżania się sztuki ku końcowi
nowe dzwony się odzywają.

DZWONNIK (leżał martwo, aż do chwili uderzenia
w dzwon katedralny. Na odgłos tego dzwonu otwo-
rzył oczy. Następnie uniósł się na łokciu. Potem,
w miarę dzwonienia, jakby mu sił i mocy przybywało).

Dzwony! Dzwony! (pełen zdumienia i rado-
ści). Dzwony! Dzwony! (unosi się nieco z ziemi).
Tak! Dzwony biją! O! ten jeden, najwięk-
szy podobny jest do naszego katedralnego!
(słucha). Ah! Dzwony! (p. ch. m.). Więc to ja
już umarłem! Umarłem! Stało się. A wie-
działem dobrze, że w śmierci niema nic stra-
sznego! (coraz większy gwar za sceną).

Wpadają: DZIEWCZYNA, MALARZ, potem GÓRALE
zbrojni, RANT, MIESZCZANIE.

DZIEWCZYNA.

Żyje! Żyje!

(Wypada jej miecz z ręki. Klęka i podnosi obie ręce
do góry z dziękczynieniem).

MALARZ.

Tyżeś to, tyżeś to, człowieku!..

DZIEWCZYNA (z szaloną radością).

Najdroższy! najdroższy!

RANT.

Przyjacielu! Mistrzu!...

MALARZ.

Ależ on nas nie widzi!..

DZIEWCZYNA.

Cicho, cicho! on usta otworzył!

DZWONNIK.

Śmierć — sługa boża! Ten, co postanowił życie ciężkiem, nie uczyniłby ze śmierci okrucieństwa. Śmierć jest tylko wartownikiem, który wiernie czuwa w czasie nocy naszego życia, aby nam zadzwonić hejnał wschodzącego poranku wieczności! To wyzwolenie z niewoli żywota ziemskiego.

DZIEWCZYNA.

Nie spojrzysz na nas! Nie powitasz nas!

RANT.

Druhu! Do ciebie należy wszystko! Zamek, miasto, naród!

DZWONNIK.

Jeszczem nie wstąpił w sferę jasności. Jeszcze szmery ziemskie wpełzają mi w uszy, jeszcze bóle trzymają się mego ciała. I jeszcze ciemno wokół. Tylko dzwony grzmia! Ah

dzwony! Jak się radośnie rozegrałyście! Więc to wam polecono powitać mnie na progu wieczności! Więc to wam Pan rozkazał rzec mi pierwsze wyrazy w Swoim domu! Toć dzwonikiem byłem! Ile dzwonów! Ile dzwonów!

DZIEWCZYNA (z rozpaczą).

Miły mój... spojrzij... spojrzij... to my... to miasteczko twoje za tobą, po ciebie tu przyciągnęło... Patrz! to twoje słowa nas podniosły i przemieniły w bohaterów. Walczyliśmy i zwyciężyliśmy... Twoje słowo zamieniliśmy w czyn, w stal, w moc... Czy słyszysz? Spójrz w tę stronę... Tu, tu, raz jeden... Oczy twoje... (bierze głowę jego i ku sobie zwraca). Przemów, przemów choć jedno słowo (coraz goręcej). Powiedz, że mnie widzisz, że mnie słyszysz, że mnie znajdujesz godną siebie... Słowo... Pół słowa... Daj znak ręką... powieka...

DZWONNIK.

Ile dzwonów (odezwał się mały, ale blizki dzwonek kaplicy zamkowej). A! a! a! To chyba mój dzwonek!.. z naszego kościoła! Tak samo, tak samo dzwoni, tylko że radośniej... (u szczytu radości). On... On... Góry moje! (Nagle z wielką siłą i surowym entuzjazmem na twarzy rzuca się naprzód, wyciąga przed siebie ramiona) Światłość! (pada martwy).

DZIEWCZYNA w rozpaczę patrzy nań i pada z krzykiem mu na piersi.

Kilku mieszczan wciążą obłąkanego Króla.

MIESZCZANIN 3-ci.

Jest, jest ten, co rozsiewał i nagradzał zło. Macie go. Zróbcie z nim, co chcecie!

KRÓL (do Ranta).

Czy ty jesteś rzeźnikiem? Właśnie ciebie szukałem!.. Jeżeli chcesz, aby były ze mnie dobre kiełbasy, toś powinien lepiej dbać o mnie... Zgaga mnie pali, a od rana nie dano mi pić...

GŁOSY ZDUMIENIA WOKOŁO

Rozum stracił...

KRÓL.

Pić chcę... słyszycie... (chrząka).

RANT.

Straszną jest kara boża.

KRÓL.

Niam, niam, niam... Mam apetyt na coś jeszcze lepszego... Tylko nie mogę sobie przypomnieć, jak się to wabi... Niam, niam, niam... Coś lepszego jeszcze od tłustych pomyj. A tu mnie głodem morzą. Nic na mnie nie zostało słoniny... Rzeźnikiem jesteś, widzę to przecież, bo trzymasz nóż w ręku,

a nie dbasz o mnie. Zaprowadźcie mnie raz do chlewa, dajcie mi żreć... Nikt o mnie nie dba... (wszyscy się przed nim ustępują).

GÓRAL STARY (nad zwłokami Dzwonnika).

Umarł! Módlmy się teraz za niego!

RANT.

Nie, bracia. Za siebie się módlmy. On naszych modłów nie potrzebuje. To był człowiek boży (wyciąga nad Dzwonnikiem rękę). Żegnaj nam, drogi nauczycielu! Tyś dusze nasze rozpałił ogniem wielkich obowiązków. Z ciebie się poczęliśmy. Pamięć o tobie będzie najdroższym skarbem serc naszych. Nauczyłeś żyć nas. Przrzeknijmy mu, iż żyć będziemy tak, jakby on na nas zawsze patrzył.

GÓRALE (uroczyście).

Przrzekamy!

Wchodzą: REKTOR UNIwersYTETU, PREZES AKADEMII, RADNI MIEJSCY.

PREZES AKADEMII.

Cześć wam, dzielni ludzie!

REKTOR UNIwersYTETU.

Zacni wybawcy nasi. Cześć wam! Cześć!

RADNY MIEJSKI.

Dzielni ludzie! Chodźcie na ratusz! Trzeba nowy rząd stanowić.

MALARZ (do Dziewczyny).

Nie poddawaj się rozpaczy, chodź z nami do końca.

DZIEWCZYNA.

Moja dusza podarta jest na strzępki.
Uważajcie mnie za umarłą. Róbcie, co chcecie.

RANT.

Życie nas woła. Odkrzyknąć się musim
Głosowi jego. Pospieszmy na ratusz.
Starszym się ludziom dajmy pod rozkazy,
Czuwając wspólnie, aby wyzwolenia
Dzień się nie zmienił na złoczyńców święto—
Obierzmy sobie też corychlej króla.
Są prawa boże. Niechaj je szanuje —
A czuć się będziem jego tronu blizcy
I w posłuszeństwie wytrwamy mu wszyscy.

K O N I E C .



8652

